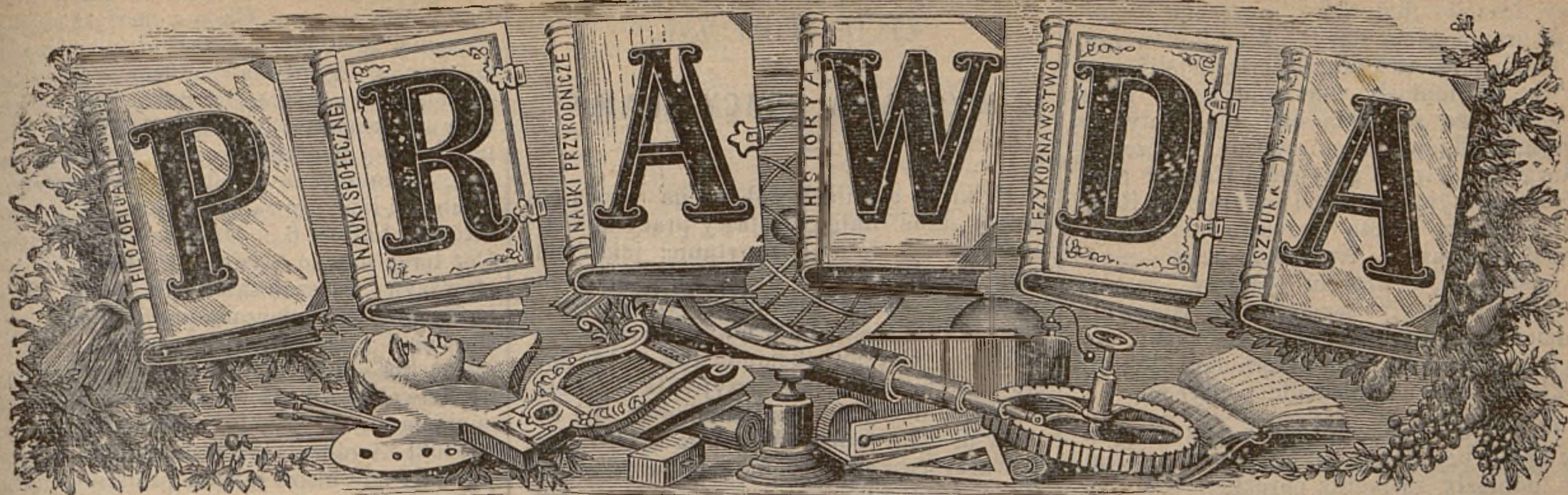
№ 23. Warszawa, dnia 8 Czerwca (27 Maja) 1889 r. Rok IX.




TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres: Złota Nr. 23.**

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** *Polityka*: Wypadki belgradzkie.—Tydzień polityczny.— Ostatnie dni Shelleya przez Bourgeta.—*Życie społeczne*: Wystawa pracy „dam" p. K. R. Żywickiego. — Z nad Dunaju p. Stwosza. — *Sprawy ekonomiczne*: Zwrot złota. — *Badania naukowe*: Kartki naukowo-artystyczne. — *Literatura i sztuka*: Ze świata III. p. Egrota. — Literatura polska: Wilhelm Feldman. Nowele i obrazki p. H. Biegeleisena. — Sztuka w służbie V. p. F. G. Brodowskiego. — Oskar Kolberg p. K. — Malarstwo. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

Szan. abonentów półrocznych i kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty na **Prawdę**.

## POLITYKA.

### WYPADKI BELGRADZKIE.

Półwysep Bałkański jest Wezuwiuszem Europy: ciągle dymi, ciągle wyrzuca odłamy skał, które zapadają nazad w jego wnętrze, ciągle przetacza na zewnątrz swą lawę a od czasu do czasu rozdziera się i wybucha. Posiada on kilka kraterów, które kolejno objawiają wrzenie. Teraz zaczął działać krater serbski. Wyznajemy, że zewnętrzny wygląd ostatnich wypadków belgradzkich a nawet energicznych ruchów rządu nie daje nam jasnego pojęcia o przyczynach i celach tego nowego zjawiska. Z jednej strony bowiem słyszymy, że postępowcy przybyli na swój wiec uzbrojeni i sami drażnieniem tłumu wywołali jego napad, z drugiej — że przeciw nim uknuto rozgałęziony po całym kraju spisek, który ujawnił się również na prowincyi z wielkiem okrucieństwem. Nadto, chociaż dotąd pozostaje wątpliwem, czy przywódca postępowców, broniąc się, zabił istotnie w szturmującej gromadzie gimnazistę, uwięziono go i nie pozwolono odpowiadać przed sądem z wolności. Wreszcie dodać trzeba, że go ciężko obito a jego mieszkanie zupełnie zniszczono. Tak zwani postępowcy są zwolennikami przymierza z Austryą. Mniej obecna regencya, a więcej ministrowie (radykalni) do związku tego wstręt czują; ale skądże zarówno oni, jak i ich współwyznawcy polityczni zapałali taką nienawiścią do przeciwników, pozbawionych wpływu i władzy? Garaszanin jako prezes gabinetu mógł rozpalać namiętności, ale jako człowiek prywatny, wysadzony z siodła na długo, jeśli nie na zawsze, przestał być niebezpiecznym. Rzeczywiście na owym wiecu, usprawiedliwiając swoje dawne rządy, zasłużył zupełnie na ten chór śmiechu, którym zgromadzone około ogrodu tłumy wydrwiwały jego mowę i dawane jej przez przyjaciół oklaski. Tak np. przyjął na swoją odpowiedzialność wojnę serbsko-bułgarską a wypowiedzenie jej tłomaczył tem, że Bułgarya swem zjednoczeniem się z Rumelią naruszyła „stan prawny" półwyspu Bałkańskiego, którego on, jako należący do... przedpokoju kongresu berlińskiego, powinien był bronić. „Wlazł na gruszkę siał pietruszkę a cebulę zbierał." Naprzód Serbia wyrosła naruszeniem „stanu prawnego" a powtóre już chyba nie do niej należało „przywracanie porządku" w domu siostry i sąsiadki, która jej śladem dążyła do odzyskania niepodległości. Cały więc ten wywód — a godnie mu odpowiadały inne, dotyczące szkód ekonomicznych — był wysoce zabawnym. O ile wszakże drwiny z humorystycznego mówcy były słuszne i zrozumiałe, o tyle gwałtowny atak, który po nich nastąpił i przybrał niezwykłe rozmiary, jest dla nas zagadkowym. I gdybyśmy koniecznie wyjaśnić go chcieli, musielibyśmy chyba przypuścić, że było to jedno z owych brutalnych widowisk, jakie improwizuje naród nieokrzesany i gotów każdej chwili użyć swej swobody na namiętne wybuchy i krwawe starcia.

Naturalnie w ocenie wypadków bułgarskich nie może zadowolić się prostym znakiem zapytania Austrya, w którą one pośrednio ugodziły. Jakiekolwiek zresztą były przyczyny, ich skutek wskazał jej, że w Serbii straciła już korną służebnicę, a zyskała bardzo hardą nieprzyjaciółkę. Do tego zaś stosunku rząd austryacki przywiązywał zawsze i przywiązywać musiał wielką wagę. Wobec usposobień regencyi, a jeszcze bardziej ministeryum, wyobrażającego dążenia większości narodu, niepodobna łudzić się, że czasy Milana i Garaszanina wrócą. Za ścianą monarchii habsburskiej wyrastać będzie sąsiadka bardzo źle usposobiona, która nietylko sama dokuczy, ale jeszcze innych zbuntuje. „Naszym wrogiem Austrya" — te słowa słyszeliśmy z ust wielu patryotów serbskich.

Również nagle rząd serbski rozwiązał umowę z towarzystwem (przeważnie francuskiem), posiadającem dwie jego koleje, któremi natychmiast zawładnął i wyższych urzędników swoimi zastąpił. I ten niespodziewany wypadek wywołał zdumienie. Taka energia musi być świadomą swego celu a po części i siły. Co zaś ona znaczy? Jest spełnieniem zasady, głoszonej jako hasło nowych sterników państwa: Serbia dla Serbii? Ale i to nas jeszcze niczego nie uczy. Słowem, na wypadkach bułgarskich spoczywa zasłona, której dotąd nie uchylono.

### TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Trudno wskazać wyraźnie przyczyny, które znacznie obniżyły (do 211) kurs rubla na giełdach zagranicznych i które wogóle wywołały pewne zaniepokojenie. Po prasie europejskiej jak gdyby przeleciał lekki, ale chłodny wiaterek, który zadziwił ludzi w tej porze tak pogodnej. Może przyczyną tego podmuchu były wypadki belgradzkie, może niedość przejrzysta i niewiarą w pokój zmącona mowa Salisburego, może artykuły dzienników odbierających natchnienia. Dość, że odezwał się znaczący szmer.

Tymczasem w Petersburgu odbył się akt, mający swoje wymowne znaczenie: córka księcia Czarnogóry Milena została zaręczona z księciem Piotrem Mikołajewiczem. Najjaśniejszy Pan zaś, goszcząc

władcę czarnogórskiego, raczył go nazwać przy toaście „jedynym, szczerym i wiernym przyjacielem Rosyi.“ Z tych słów prasa ruska wysnuwa długi szereg myśli i uważa je za doniosły fakt polityczny. *Swiet* twierdzi, że stanowią one „majestatyczną i groźną odpowiedź na ostatnie nikczemne intrygi fałszywych przyjaciół Rosyi.“ *Graždanin* utrzymuje, że od przymierza Rosyi z Czarnogórą zależą przyszłe losy półwyspu Bałkańskiego. Nadejdzie dzień—mówi to pismo — w którym „jedyny, szczery przyjaciel Rosyi“ wystąpi na widownię, a dzień ten jest niedaleki. A choćby nawet był daleki, toast peterhofski określił dokładnie obecne położenie polityczne.

W walce ze Szwajcaryą z powodu sprawy agenta policyjnego, Wohlgemutha, Niemcy odniosły sromotną porażkę. Gdy bowiem *Nordd. Atlg. Ztng* ogłosiła listowne zażalenia innych swoich jakoby uciemiężonych rodaków i zaopatrzyła je mocnemi groźbami, rząd szwajcarski wyjaśnił, że owi prześladowani poczciwcy są łotrami, ściganymi przez sądy za rozmaite przestępstwa. Oni to złożyli się na tę elegię, która tak wzruszyła organ kanclerski, że aż gniewnie po mieczu uderzał.

Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej objeżdża kraj, wszędzie witany z zapałem, który Boulangera zmusza do powiększania dawek morfiny. Chciał ten biedak w mundurze i na koniu wystąpić podczas rewii wojsk angielskich, ale mu wytłomaczono, że lepiej zrobi, gdy zaniecha tego popisu.

Wicekrólem Irlandyi mianowano lorda Zetlanda, o którym tyle wiadomo, ile o wielu dygnitarzach angielskich — że ma dużo pieniędzy. To przecież wystarcza do zarządu krajem i wygładzenia sporu międzynarodowego.

Miasto Johnstown w Pensylwanii padło ofiarą losu, który można tylko porównać z losem Herkulanum i Pompei. Pękł olbrzymi zbiornik wody, który zalał całą okolicę tak szybko, że wszelki ratunek okazał się opóźnionym. Ponieważ zaś przytem wybuchł pożar, od wody więc i ognia zginęło około 20,000 osób a straty wynoszą 25,000,000 dolarów. Bezprzykładna klęska, która następnie dotknęła inne okolice.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### WYSTAWA PRACY „DAM.“

Po kilku chwilach pobytu na wystawie, której dano imię „wystawy pracy kobiet,“ zrodziło się we mnie zapytanie: jakie cele mieli urządzający ją, kiedy zabierali się do otwarcia. Minął już blizko tydzień czasu, i zagadka pozostaje dla mnie wciąż nierozwikłaną. Czyżby chciano, aby różne wystawczynie wzajemnie przyjrzały się metodom technicznym oraz istniejącym dla kobiety drogom pracy? W takim razie zarząd Towarzystwa zachęty przemysłu przeliczył się; nietrudno bowiem zauważyć, iż na wystawie wystąpiły tylko te zawody, wśród których natłok pracy niewieściej nader silnie uwidocznił się; inne, gdzie kobieta zdobywa sobie prawo obywatelstwa, jakoś skromnie ledwie zdradziły swoje istnienie. A może chciano publiczności wskazać, gdzie może nabywać tanio dobre wytwory? Z wyjątkiem kilku przedsiębiorstw fabrycznych mamy znowu okazane rzeczy w rodzaju ekranów po 250 rs., koronek za łokieć 75 rs., poduszek salonowych po 300 rs.; nawet jakiś tuzin kopert z arkusikami listowymi kosztuje 4 rs., że już nie mówię o wyhaftowaniu herbu za 20 rs. Naturalnie, wzięliśmy przedmioty kosztowne, lecz właśnie są one środkiem ciężkości, około którego wahają się ceny wystawowe. Człowiek, posiadający 1,500 rs. rocznego dochodu, gdyby poszedł na wystawę dla zaopatrzenia się w przedmioty użytku, niebawem zauważyłby, że są to, jak powiada przysłowie, za wysokie progi na jego nogi. Słowem, mamy tu przedewszystkiem wystawę zbytku, i to zbytku mało praktycznego. Jedynym użytkiem z wielu wystawionych przedmiotów byłoby chyba trzymanie ich w salonie pod kloszem ze szkła lub pokryciem z płótna... Ażeby dać czytelnikowi przybliżone pojęcie o „arystokratycznym“ kierunku wystawy, zrobiliśmy niewielkie obliczenia statystyczne na zasadzie *Katalogu* (odtrącamy ochronki i szkoły)*). Otóż w dziale I, gdzie mają znajdować się przedmioty powszedniego użytku, naliczyć można wogóle tylko 52 wystawczyń, w dziale zaś II przeważnie z wyrobami zbytku aż 82 z jednej tylko Warszawy. Ciekawem jest rozmieszczenie zawodów. Najprzód przyjrzyjmy się działowi I, usunąwszy zeń wystawczynie-amatorki. Sądzę, iż publiczność więcej zużywa krawatów, aniżeli haftów i koronek, więcej pantofli i koszul, aniżeli gorsetów. Tymczasem wystawczyń krawatów i pantofli liczymy zaledwie po jednej, gorsetów 4, haftów 6... Jest to ogólna barwa. Cóż teraz mówić o dziale II? Wśród 82 wystawczyń warszawskich przypada 39% na hafty, zwykle obdarzone przypiskiem „zbytkowne,“ 13·5% na roboty szydełkowe i tyleż na koronkowe. Dodajmy do tego dywany, frywolity itd., a zrozumiemy, dlaczego znalazła się tylko jedna wystawczyni rękawiczek! A może czytelnik ciekaw, z czem popisały się nasze miasta prowincyonalne? Okazuje się, że są jeszcze w „lepszym tonie,“ bo do działu I nie nadesłały ani jednego wyrobu, do II aż 8, mianowicie Płock dwie drogie poduszki dla kanap salonowych, Radom — dywan, Rawa—ornat itd. A może lepiej w dziale III, obejmującym przedmioty artystyczne? Fotografowie ustępują heliominiaturom, te zaś w liczbie 4 wystawczyń skromnie chowają się przed malowaniem na porcelanie, atłasie, marmurze itd. Gdzież tu współzawodniczyć z 31 rywalkami? Porzućmy jednak miasto, o którem jeden dowcipny pesymista wyrzekł, iż jego przeznaczeniem jest płodzenie nerwicy i histeryi w wyrobach i przedmiotach użytku. Może panie dworskie są więcej „praktyczne“ i wolne od tej miłości ku zbytkownym fatałaszkom, którą zaraziło się nawet Towarzystwo dobroczynności, ucząc wychowanki robót szydełkowych i haftowych lub zmuszając je do wycinania masą patarawek z papieru... Naliczyliśmy „dworskich“ okazów w Królestwie 29, z tej liczby jednakże potrąćmy 3 na osoby wiekowe, które zgodnie z tradycyą prababek szlacheckich dały dywany lub hafty... amatorskie. Otrzymamy wtedy 4 wystawczynie serów, jedną—wędlin, 2 miodu lub wyrobów z miodu, jedną—wykałaczek, 2—jedwabiu, 2 tkactwa, jedną — koszyków. Natomiast dostajemy 4 haftów na sprzedaż, 3 malowideł na porcelanie, wyrobów szydełkowych 4 itd. Tradycye staroczesnego dworu kwitną, lubo z pewnem zabarwieniem rewolucyjnem, bo malowanie na porcelanie, bezwarunkowo dążności przewrotowych, już wtargnęło... Należałoby przy sposobności zawadzić o sąsiedztwo, chałupę włościańską. Czynimy to jednakże z wielkiem wahaniem, gdyż nie chcielibyśmy chłopa polskiego obdarzać właściwościami li-

*) Zauważymy, iż wskutek monotonności dokonywanych rachunków i wynikającego stąd znużenia mogliśmy tu i owdzie popełnić jakąś nieścisłość, lecz w żadnym razie nie zmienia to barw obrazu.

¹)

## Ostatnie dni Shelleya*)

przez

P. Bourgeta.

*Piza, luty, r. 1884.*

Jako miłośnik poezyi, postanowiłem odbyć nową pielgrzymkę po tym zakątku Włoch, gdzie najsubtelniejszy z posłów angielskich dziewiętnastego stulecia, ten właśnie, którego imię umieściłem w tytule niniejszego studyum, spędził kilka ostatnich wiosen swego zbyt krótkiego żywota. W Pizie to i na wybrzeżu Spezzi, którego krawędzie powycinane w drobne zatoki piętrzą się skałami, biedny Shelley tworzył swoje mniej naśliwsze poematy, w których z wdziękiem pełnym bolości i namiętności, spowiada się ze swych rojeń o miłości i naturze: *Czułek* i *Adonaïs*, *Epipsychidion*, przecudowne fragmenty liryczne: *Do damy, dając jej gitarę*, *Oda do nocy* i te wiersze *Do Janiny*: „...Spiewaj jeszcze, twym drogim, proroczym głosem, dźwiękiem, z jakiegoś dalekiego, nie naszego świata, gdzie muzyka, blask księżyca i uczucie, zlewają się w jedno!“ Czyliż potrzebujemy doskonalszej oprawy, nie powiem dla portretu, ale dla nikłego szkicu tego poety, tak mało znanego we Francyi, pomimo kilku kartek bardzo żywo o nim skreślonych przez Taine'a w czwartym tomie jego *Literatury angielskiej?* Posiadam małą książeczkę, wydaną przez Ryszarda Garnetta*), zawierającą wybór korespondencyj Shelleya. Na pięćdziesiąt trzy listy owego zbioru, przeszło czterdzieści jest napisanych z Włoch. Stanowią one jak gdyby dziennik poufnych wrażeń tego marzyciela, tej nawskróś giermańskiej imaginacyi, przeniesionej w światło nieba południowego pomiędzy arcydzieła sztuki. Ta to książeczka wystarcza nam, abyśmy potrafili odtworzyć sobie w ulicach starego pizańskiego miasta oblicze poety takiem, jakiem było w latach 1820, 1821, 1822, w epoce, w której po długiem błąkaniu się, i z Bolonii do Neapolu, obrał nareszcie na stałe dla siebie siedlisko ten spokojny gród.

* * *

Łatwo pojąć, jak bardzo rozkoszować się musiał, puszczając wodze rojeniom swej melancholii i miłości dla piękna w tej Pizie milczącej, martwej, gdzie żółte wody Arna płyną leniwie pod arkadami starych mostów, gdzie wzdłuż opustoszałych brzegów rzeki marmurowe pałace roztaczają niedbale swe fasady, gdzie wszystko tchnie ukojeniem zrezygnowanego przeznaczenia. Kiedy u kresów tego oniemiałego miasta staniemy na placu, na którym wznoszą się trzy pomniki XII wieku: katedra, dzwonnica i wieża pochyła, zdaje nam się, żeśmy nagle zapadli w sen średniowieczny. Z pod płyt kamiennych wyrasta trawa. Campo-Santo z wystrzępioną linią wałów i murem bez okien zamyka krajobraz. Tylko sklepienie niebios roztacza swój błękit z taką siłą, z taką jasnością, jak ongi, kiedy odważny malarz Benozzo Gozzoli, który pracował tu przez lat szesnaście, przebywał ten plac, dążąc do swych fresków na pół-

*) Z wydanego świeżo zbioru p. t. *Etudes et portraits.*

*) *Select Letters of Percy Bysshe Shelley*, 1 tom, Londyn, 1883.

twina lub małorusa. Oddział włościański zawiera 64 numery w *Katalogu*, w tej liczbie 24% wypada czasami na bardzo dalekie okolice — lecz stosunek ten daje nader słabe pojęcie o istotnym stanie rzeczy, gdyż tego pochodzenia wyroby pod względem ilości stanowią na wystawie prawdopodobnie 75%. Wyjaśnia się to tem, iż tutaj występują wsie lub klucze, tymczasem w bliżej obchodzącym nas wypadku—jedynie chaty. Co więcej z 49 wystawczyń Królestwa 30% przypada na stacyę pocztową Gołąb gub. lubelskiej i 67% na 4 stacye pocztowe gub. siedleckiej, gdzie znowu spotykamy się gęsto z nazwiskami obcemi naszym Gawrychom, Dygasom itd. Naturalnie, pożądanem byłoby wiedzieć, jak idzie sprzedaż tych wyrobów, ile że w niektórych razach pomieszczoną jest wzmianka, gdzie można je nabyć w Warszawie. Zwracaliśmy się podwakroć z zapytaniami. Za pierwszym razem zbyto nas milczeniem, za drugim — również, lecz wobec natręctwa zaczęto zapewniać, iż pani (właścicielka majątków) jest osobą milionową i nie potrzebuje zarabiać... Mimochodem zauważymy, iż wyroby włościanek podolskich odznaczają się artystycznością, rzadką u naszych warszawskich amatorek szydełka i haftu. Zresztą, podobną jak przedstawicielka pani X. drażliwością finansową, odznacza się wogóle wystawa. Po za haftowanemi poduszeczkami, ekranikami, koroneczkami czuć rumieniec wstydu. Na wyrobie stoi cena i zarazem uwaga w *Katalogu*: „z amatorstwa“ lub dodatek, że wystawczyni „dotychczas“ jeszcze nie robiła na sprzedaż, dano więc delikatnie do zrozumienia, że można ją skusić na robotę nieamatorską. Być może, w tej wstydliwości należy poszukiwać źródła wysokich cen. Malarki na porcelanie, które tradycyę prababkową haftów, nieco zrewolucyonizowały już otwarcie, jak przystało dzieciom wieku, żądają zapłaty. Zresztą pomiędzy niemi mniej już osób z przydomkami. Największym jednak bezwstydem odznaczają się wystawczyni pończoch, dżetów, trykotowych wyrobów, które mówią o ilości zatrudnionych rąk i rocznym obrocie. Być może, dlatego też wyroby odnośne są najbardziej odpowiadające kieszeni średniowiecznego gminu, lecz zarazem i najnieliczniejsze. Ten brak odrazy ku „estetyce“ dochodzi do szczytu u jedynej wystawczyni krawatów, która w sąsiedztwie haftów ośmieliła się przy znać, iż nawet— pierze tego rodzaju przedmioty.

A teraz możemy powiedzieć, czem jest obecna wystawa. Oto wystawą pracy — nie kobiet, wcale nie!, lecz tylko i przedewszystkiem „dam,“ które jej nadają „dobry ton.“ Zresztą nic dziwota. W miarę jak ginie „dama,“ występuje zwykle już nie kobieta, lecz człowiek. Weźmy rzesze pracujących kobiet w fabrykach tkackich, tytoniowych, w cegielniach. Śmiesznem byłoby tu mówić o pracy tej lub innej płci i urządzać popisy wyrobów mężkich lub żeńskich; wystawa będzie tu wystawą pracy lub przemysłu wogóle. Wystawa zaś kobiet, jak obecna, będzie zawsze popisem tylko „panienek“ lub „pań,“ z wyjątkiem przedsiębiorstw, gdzie istnieje znaczny podział pracy lub maszyna. W tym razie występują przedsiębiorczynie z odmiennym wyrazem produkcyi. „Panienka“ zawsze wybierze malowanie na szkle i w ostatnim razie nauczycielstwo, lecz z pogardą odsunie felczerstwo i akuszeryę, chociaż zyskowniejsze. Woli robić szydełkiem, aniżeli maszyną pończoszniczą, wyrabiać hafty i koronki, aniżeli krawaty. Tem też wyjaśnić można inne piętno wystawy — poświęcanie mnóstwa sił zawodom skazanym na zagładę. Widzieliśmy dywany po kilkadziesiąt rubli, serwety szydełkowe po 50 rs., koronki na łokcie aż do 75 rs. Nie ulega wątpliwości, iż często gustowniejsze okazy fabryczne i przytem praktyczniejsze można mieć za połowę tej ceny. Wystawmy sobie teraz położenie biednych dziewcząt z Dobroczynności, które się uczą takich robótek ręcznych, wobec współzawodnictwa maszyn. Jedna z wystawczyń zapewniała, że dla łokcia koronki potrzebuje miesiąca czasu po 6 godzin dziennie, wprawniejsze zaś po 3 — i bierze za to aż sześć rubli! Niewiem, czy za godzinę wypadnie nawet 1½ kop. I oto na takie nieprodukcyjne i skazane na śmierć zarobkowanie rzuca się lub raczej rzucała większość naszych pań. Obecnie pod wpływem mody ukazało się malowanie...

Należałoby jeszcze pomówić o dziale pedagogicznym, jednakże o nim można sądzić nie według złoconych okładek, lecz z treści. Zrobimy to później. Wtedy dotkniemy i szkół pracy kobiety. Natomiast musimy słówko poświęcić kobietom bezimiennym, których praca zatonęła w nazwiskach pracodawczyń. Wiadomo, jak są one płatne. „Imienne“ twierdzą, że nie są w stanie więcej dawać, czemu poniekąd wierzymy, jeżeli uwzględnimy współzawodnictwo roboty ręcznej z fabryczną. Lecz w każdym razie utyskiwania to są przesadzone. Jedna z wystawczyń w *Katalogu* umieściła uwagę następującą: „Przez 9 miesięcy roboty przyniosły mi *brutto* 407 rs. Rozchód wynosił 180 rs., mianowicie wynagrodzenie starszej pracownicy 100 rs., młodszej 30 (dziewięć miesięcy!), materyał na wyroby 50 rs. Miałam więc dochodu *netto* 227 rs.“ W każdym razie widzimy, iż możnaby „coś“ dodać istotom bezimiennym.

*K. R. Żywicki.*

## Z NAD DUNAJU.

*Wiedeń, 1 czerwca.*

Z ostatniego posiedzenia Koła polskiego. — Sprawozdanie galicyjskiego inspektora przemysłowego. — Odpowiedź Sygurda Wiśniowskiego. — Ruch naukowy i artystyczny: powołanie Krafft-Ebinga na katedrę psychiatryi; odsłonięcie biustu Hyrtla. — Pomnik Grillparcera. — Z Künstlerhausu. — Paderewski i Abendrotówna.

Z chwilą zamknięcia parlamentu austryackiego, ustała też tegoroczna działalność Koła polskiego, którego członkowie, wróciwszy do domu, zajęci są ubezpieczaniem sobie mandatów poselskich do sejmu. Kraj przyjmuje zazwyczaj wracających satyrycznem przedstawieniem ich działalności, której płonność wykazują z goryczą *Reformy* i *Kuryery* a z humorem *Dyabły*, *Szczutki* i *Śmigusy*. Tym razem jednak rolę *Dyabła* objął sam przewodniczący Koła, Jaworski; bo chyba tylko w pismie humorystycznem spotkać się dotychczas można było ze sprawozdaniem tak pełnem smutnej wesołości. Oto ustęp z urzędowego raportu ostatniego posiedzenia Koła: „Przewodniczący Jaworski streścił w obszerniejszem przemówieniu *wszystko*, cośmy ważniejszego obok innych pomniejszych spraw *w ubiegłym roku zdziałali*, i tak:

1) *uregulowanie sądownictwa*, którego rychłe przeprowadzenie minister sprawiedliwości *przyrzekł*;

2) *ukompletowanie wszechnicy* lwowskiej, którem minister oświaty już się zajął, a do czego Koło w jesieni ministra *przynagli*;

3) wprawdzie *dotąd nie przyszło jeszcze* do załatwienia sprawy *ustawy*, zaprowadzającej ulgi dla włościan w *należytościach przenośnych*, stało się to jednak nie z naszej przyczyny, tylko z powodu, iż członkowie lewicy na ostatnich posiedzeniach komisyi odnośnej nie jawili się. Atoli na jesień przewodniczący dołoży starań, by ustawa ta jaknajprędzej na porządek dzienny postawioną została...

---

nocnej ścianie tego cmentarzyska. Spoczywa też pod murem ozdobionym swą ręką, pochowany pod jednym z kamieni tego klasztoru, w którym tyle godzin przetrawił, prosty i wzruszający symbol przeznaczenia wielkiego artysty, wzniecający zapewne uczucie zazdrości w włóczędze Shelleyu! Po wieluż bo krajach i domach nie ciągał ten poeta angielski swej duszy niespokojnej w obawie o swe dzieło niepewne?.. Ale zwolna dał się ukołysać temu ukojeniu, którem nasiąkła atmosfera pizańska. Mieszkał na najwyższem piętrze jednego z pałaców „skąd wzrok ogarnia—pisze do swego przyjaciela Peacocka—miasto i jego okolicę.“ Zgromadził dokoła siebie książki i rośliny. „Okna—powiada w dalszym ciągu — przepełnione mam kwiatami, które zimę słoneczną zamieniają na wiosnę.“ Miał rzekę pode drzwiami, co znaczy że miał czem zadowolić swe upodobanie, to jest kołysząc się w barce pomiędzy niebem i wodą, czytać lub tworzyć. Zamierzał tłomaczyć Spinozę, zagłębiał się w *Dyalogach* Platona, pisał poematy mistyczne, zarazem gwałtowne i pełne wdzięku, buntownicze i zachwytne. Małżonka jego, Marya Godwin, oddawała się ze swej strony nauce języka greckiego, pod kierownictwem jakiegoś księcia heleńskiego, którego Shelley chętnie przyjmował, dla jego idei rewolucyjnych. Mało ludzi posiadało w tym stopniu, co ten szczery i dziwny poeta, dar oczarowywania. Jego pierwsza żona, Harrietta Westbrook, dla przypodobania mu się, nauczyła się po łacinie. A jeśli druga usiłowała czytać *Antygonę*, to zapewne tylko dlatego, by módz posiąść tajemnicę podbicia go bardziej, ponieważ mawiał często, jak np. w liście do Gisborna: „Niektórzy z nas kochać musieli Antygonę w swem przedistnieniu i to jest powodem, dla którego nie czujemy się w pełni szczęśliwymi w żadnym nowym związku.“ Nie wyobrażajmy sobie wszakże, aby tam panowała pedanterya; było to tylko ognisko domowe osobistości dziwnie wyjątkowej i samotniczej. Trelawny, ów anglik z obliczem araba, który miał towarzyszyć Byronowi w jego ostatniej wyprawie i który w owym właśnie czasie spotkał Shelleya, opisuje go jako smukłego i szczupłego młodzieńca, bez zarostu, o rumieńcach dziewiczych i z wyrazem twarzy dziecięco naiwnym. „Poruszał się, czyniąc tak mało hałasu, że wchodził i wychodził z pokoju niepostrzeżenie. W postaci tej uderzały najbardziej każdego oczy, świecące blaskiem nadzwyczajnym, oraz promienie białych włosów wplątane przedwcześnie w pukle brunatne.“ Chociaż miał już około lat trzydziestu, Trelawny przedstawia go w stroju chłopięcia, to jest w żakietce i spodniach czarnych tak obcisłych, „jak gdyby z nich wyrósł, lub jak gdyby krawiec okradł go haniebnie w wymiarach.“ O Shelleyu zarówno jak i o Joubercie można było powiedzieć, że dusze ich czuły się skrępowane ciałem napotkanem przypadkowo. Takim się przedstawia na portrecie Clinta, zdjętym z akwareli zrobionej przez jednego z jego przyjaciół, takim w swych poematach i takim również w listach—jakąś istotą prawie całkiem obcą warunkom materyalnym bytu, z natury przeznaczoną do ascetyzmu i apostolstwa i niezdolną do konkretnego widzenia życia. Pisał on sam: „Tak, mój *Epipsychidion* jest tajemnicą. Co do krwi i kości, wszak wiecie, że niewiele sobie ważę te artykuły. Z równą słusznością moglibyście zażądać pieczeni baraniej w dżyniarni, jak oczekiwać ode mnie czegoś ziemskiego i ludzkiego...“

* * *

W tych listach, pisanych z Pizzy, ciekawa odsłania się sprzeczność. Stworzony do pojmowania nadnaturalności, do wywoływania kształtów niepochwytnych, do sub-

4) sprawa *indemnizacyi* tak stoi, że według oświadczenia ministra skarbu, zaraz *w jesieni* przyjdzie do parlamentarnej *rozprawy*...

Sprawozdanie to objaśnić należy uwagą, że owe „przyrzeczone“ uregulowanie sądownictwa nie stanowi zasługi Koła, gdyż pierwszy istotny doń pochop dał niemiecki poseł Pernestorfer, który w kilku głośnych przemówieniach wykazał bezprzykładne wadliwości sądownictwa galicyjskiego.

Wobec niezadowolenia robotników niemieckich i austryackich, które w ostatnich czasach objawia się coraz energiczniej, obejmując coraz szersze koła, wielce zajmującem jest sprawozdanie rządowego inspektora przemysłowego w Galicyi, Arnulfa Nawratila, który obecnie (po niemiecku) przedstawia ministerstwu swe spostrzeżenia uczynione w r. 1888. Czarną barwą maluje on stosunki przemysłowe swego okręgu; sprawozdanie jego, pisane z żółcią, nosi wszystkie cechy aktu oskarżenia. W pierwszym dziale, po za wiadomościami, dotyczącemi służby inspektora, znajdujemy opis opłakanych stosunków pomieszczenia robotników w Borysławiu, oraz obszerne sprawozdanie o bezrobociu piekarzów we Lwowie, którzy nie uzyskawszy niczego, wrócili do pracy; inspektor przyznaje im słuszność co do czasu pracy i co do odpoczynku niedzielnego. Stan pomieszczeń robotniczych nie zmienił się, wyjąwszy nowozałożone warsztaty. Właściciele starszych zakładów, nie chcąc ponosić znaczniejszych kosztów dla uskutecznienia zmian, zarządzonych przez inspektora, wnoszą apelacye. Najwięcej poczucia obowiązku mają przemysłowcy tkaccy w okręgu bialskim; a jedyne starostwo w Turce wykonywa należycie ustawę. Z formalnem oskarżeniem występuje inspektor przeciw nafciarzom, którzy posiadając osobne towarzystwo, agitują przeciw niemu. Od żądań zaś swych odstąpić on nie może, tem mniej, ponieważ nieraz zakładanie destylarni następuje samowolnie, bez zezwolenia urzędowego, a urządzenia ochronne często zupełnie bywają pomijane. Inspektor wzbudził niechęć nafciarzy żądaniem, aby magazyny na surownię i towar destylowany były urządzone ogniotrwale i znajdowały się w należytem oddaleniu od pomieszkań, ażeby robotnik nie był narażony na kopeć, itd. Robotnicy są przeważnie włościanami, którzy oderwani od roli, zarabiają zaledwie 12—18 zlr. miesięcznie, z czego rodzina utrzymywać się nie może. Miał też inspektor przeprawy z młynarzami, którzy nie chcieli urządzać schodów ogniotrwałych. Farbiarze nie chcą pomieszczeń swych należycie opalać, a pary wywiązującej się z naczyń—odprowadzać za pomocą aparatów ssących. Stosunki piekarń lwowskich nie zmieniły się na lepsze, a podobne istnieć mają w Krakowie, Stanisławowie i Wieliczce. Najdłużej zatrzymuje się p. Nawratil nad urządzeniem gorzelń, zwiedziwszy ich 32. Inspekcye te przekonały go, że robotnicy narażeni są nietylko na utratę zdrowia, ale i życia. Nieszczęśliwych wypadków w r. 1888 było 57, przeważnie w gorzelniach, tartakach i kopalniach. W 35 wypadkach inspektor zmuszony był podać skargę o niewykonywanie ustawy co do ilości godzin pracy; w 7 wypadkach za używanie kobiet i dzieci do służby nocnej, w 13 za niedotrzymywanie przepisów co do przerw robočzych, wreszcie w 32 za niedotrzymywanie spoczynku niedzielnego. Prowadzenie spisu robotników jest niedostateczne. Książeczek nie było w 82 wypadkach. Co do wynagrodzenia nie było żadnych nadużyć. W sprawie wykształcenia młodzieży rzemieślniczej, zaznacza inspektor, że powstała jedna tylko nowa szkoła w Świątnikach (dla ślusarzy). W Krakowie bardzo mało jest terminatorów, którzy nie uczęszczają na naukę. Położenie materyalne robotników w niczem się nie zmieniło.

Z odpowiedzi, jakie przemysłowcy galicyjscy ogłosili po pojawieniu się sprawozdania powyższego, najbardziej zasługuje na uwagę napisana w obronie nafciarzy przez Sygurda Wiśniowskiego. Tłomaczy on rozgoryczony ton sprawozdania okolicznością, że inspektor jest urzędnikiem bez władzy wykonawczej; w sporach jego z przemysłowcami władze nieraz rozstrzygały na korzyść ostatnich, którym p. Nawratil narzuca niewypróbowane praktycznie przepisy co do sposobu budowania i prowadzenia fabryk. Zresztą widzi Wiśniowski w wywodach ispektora wiele owej „Wichtigmacherei,“ której nauczył się od landratów poznańskich. Towarzystwo nafciarzy zawsze było dlań usłużnem; nawet gdy zażądał od starostwa zamknięcia wszystkich rafineryj kołomyjskich, wytwarzających połowę nafty produkowanej w Galicyi, nie towarzystwo stanęło z nim do walki; cios ten uchylił wówczas Szczepanowski. Wobec ubóstwa polskiej literatury destylatorskiej, nafciarze zwrócili się do inspektora z prośbą o ustanowienie zasad co do sposobu budowania i prowadzenia fabryk; a odprawieni przezeń proszą obecnie namiestnika o zwołanie ankiety w tym celu. Stanowczo odpiera Wiśniowski zarzut, jakoby nafciarze odrywali włościan od roli, źle wynagradzając ludziom swym robotę. Destylarnie niechętnie przyjmują włościan, gdyż ci nie chcą pracować przez rok cały. Ludzie zajęci w nich rekrutują się ze stanu podmieszczan, w części są żydami; płaca ich wynosi 20—24 zlr. miesięcznie z dodatkiem mieszkania, opału i światła. Rzemieślnicy otrzymują 36—50 zlr. Chłopom proszącym się na przednówku o robotę płaci się po 60—70 centów dziennie, podczas gdy przy robocie fabrycznej, pracując 10 godzin dziennie, zarabiają 15—20 ct.

Przypuścić należy, że referat inspektora Nawratila i pod innymi względami jest przesadnie pesymistycznym; bądź co bądź publikacye jego, czytane *cum grano salis*, są ważnem źródłem informacyjnem dla wszystkich, którzy poznać chcą stosunki przemysłowców i robocze w Galicyi.

W Wiedniu, mimo iż rozpoczęła się już pora letnia, wre ruch w ogniskach nauki i sztuki. W uniwersytecie wiedeńskim świeżo zaszło zmian parę. Ustępuje schorzały dziś słynny profesor fakultetu medycznego, Brayski; ustąpił też Leidsdorf, psychiatra używający sławy europejskiej. W miejsce jego powołanym został Krafft-Ebing, który w ostatnich czasach zdobył sobie sławę, przekraczającą ciasne koło ludzi uczonych. Dr. Ryszard baron Krafft-Ebing, właściciel znacznej fortuny, której używa dla swych studyów i doświadczeń, jako profesor psychiatryi w Strasburgu, następnie jako dyrektor styryjskiego domu dla obłąkanych w Gracu, uzyskał najprzód sławę znakomitego praktyka na polu patologii nerwów i psychiatryi. Działalność autorska rozniosła imię jego po całej Europie; prócz znanej pracy o nerwach, przełożonej na język polski, wydał kompendya psychiatryi, psychologii kryminalnej, psychopatologii sądowej, z mniejszych rozpraw zasłynęła jego *Psychopathia sexualis*, oraz studya na polu hypnotyzmu. Dzieła jego fachowe pisane są stylem niezwykle pięknym, lekkim i przystępnym, któremu zawdzięczają popularność. Krafft-Ebing obejmuje po Leidesdorfie dyrekcyę dolno - austryackiego krajowego zakładu obłąkanych; zarazem prywatną swą lecznicę, słynącą od lat wielu, przenosi do Wiednia.

Równocześnie niemal odbyło się w uniwersytecie wiedeńskim uroczyste odsłonięcie szeregu popiersi słynnych profesorów-medyków; w szeregu tym ustawiono też wspaniały marmurowy biust anatoma Hyrtla, żyjącego jeszcze i wykładającego mimo blizkiej osiemdziesiątki. Hyrtl, od którego

---

telnego ukochania symboliki, Shelley zdawał się być bardziej niż ktokolwiek zdolnym do odczucia uroku całej pierwotnej sztuki włoskiej. Czyjeż ucho mogło być lepiej niż jego utworzonem dla wyraźnego dosłyszenia koncertów, odgrywanych na wioli i cytrze delikatnymi palcami Serafinów Fra Angelika? Czyjeż serce powinno było drżeć bardziej do smętnych uśmiechów Madonn Symona Memniego? Jeśli mógł się urodzić za dni naszych człowiek, umiejący oddychać wonią lilij, którą aniołowie zwiastuni Lorenza di Credi podają w wyśnionym obrazie Świętej Dziewicy, to bezwątpienia ten tylko, który rozpływając się nad kwieciem bladych dzwonków, powiada, że z nich dolatywał go „rozkoszny dźwięk muzyki tak delikatnej, tak słodkiej, a tak mocnej, że przenikała zmysły niby pachnidła“ *). Znajdują się nawet obrazy XV stulecia, jak np. *Alegorya wiosny* Sandra Botticellego, z których bije ten sam powab, co z poematów Shelleya najbardziej indywidualnych. Te postacie, tak wielkie a tak wdzięczne, z oczami naiwnemi w poważnych twarzach, z tem czemś rzewnie niezręcznem, źle przystosowanem do życia, które przesuwają się w milczącym pochodzie pod liśćmi drzew, śród kwiatów, krokiem lekkim, nieugniatającym nawet trawki — czyliż nie są siostrzycami postaci, nawiedzających sny angielskiego poety? I czyliż nie można powiedzieć o każdej z nich tego, co on mówi o kobiecie przechadzającej się po ogrodzie, w którym drży wrażliwa roślina (czułek): „Jej kroki zdawały się mieć litość dla trawnika, po którym stąpały...“ A z drugiej strony, czyliż nie odpowiadała wszystkim jego pragnieniom apostolskim boleść na twarzy dawnych Chrystusów, jak ich maluje Giotto, wychudzonych, podbitych, ukrzyżowanych, z krwią ociekającą kroplami z rozdartego boku w kielichy aniołów?.. Tak, był to świat postaci, pośród których rozkoszować się był powinien twórca *Adonaïs*. Ale Shelley, będąc poetą marzenia, był jednocześnie filozofem walki. Jeszcze jako uczeń University College w Oksfordzie, napisał bezbożny pamflet i odtąd nie przestał wojować z religią. Podczas jego podróży do Włoch ta to właśnie buntownicza filozofia Shelleya staje pomiędzy nim a sztuką chrześciańską i zasłania mu jej piękności. Patrząc na obraz męczeństwa, odwraca głowę i woła. „Nużącem jest ciągłe spotykanie się z tą monotonią konającej postaci, wysławianej według formy przepisaną torturą.“ Spostrzegłszy jedno z tych malowideł, których tu pełno, przedstawiających mnicha w pełni ascetycznych umartwień, oburza się również: „Po co pisać książki przeciwko księżom? Wystarczyłoby ukazywanie podobnych płócien.“ Unika widoku wszelkich obrazów religijnych i przenosi swój zachwyt na ruiny kultu pogańskiego. Ten bowiem poeta, tak nawskróś przejęty duchem współczesnym i dodajmy — tak chorobliwym, uważał się za czciciela bogów i bogiń Grecyi. Artysta ten z wrażliwością wiecznie drżącą przed wszystkiem, co rzeczywiste, wiecznie stęsknioną i zwróconą ku światom doziemskim, wyznawał kult tego upajającego święta życia, które stanowiło poganizm. „Ach — powiada w westchnieniu — gdybyż nie były upadły Ateny, do jakiejże wysokości byłby się podniósł świat!..“

* *
*

Z osnowy tych listów możnaby napisać rzecz bardzo ciekawą o krytyce sztuki według pisarzów, odznaczających się wybitną oryginalnością. Umysł ich, posiadający na podobieństwo rośliny zdolność czerpania z żyznej ziemi tych tylko soków, które są

*) Czułek — roślina.

działalności naukowej datuje się rozgłos wiedeńskiego fakultetu medycznego, należy do owych przyrodników-filozofów, wiecznie młodych, wiecznie zdrowych, wiecznie wesołych. Podczas uroczystego aktu odsłonięcia popiersia dowcipkował półgłosem — tak mało akt ten, którym zazwyczaj czczą umarłych, starcowi nasunął myśli o blizkiej śmierci.

Niewdzięczności wobec uczonych, artystów i poetów Wiedniowi zarzucić nie można. Pomnik powstaje tu za pomnikiem, na wszystkie obfite płyną środki z kies arystokracyi i plutokracyi. Świeżo odsłonięto w parku cesarskim, oddanym do użytku publiczności i zwanym „Volksgarten," przepyszny a oryginalny marmurowy pomnik Franciszka Grillparcera, zmarłego w r. 1872. Już za życia spłynęły na poetę tego, urodzonego w Wiedniu, liczne zaszczyty; umarł jako członek Izby panów. Naprzód wystąpił ze słynną tragedyą „Die Ahnfrau" (Matka rodu Dobratyńskich), a następnie opracowywał przeważnie tematy greckie, przez lat kilkadziesiąt był filarem sceny wiedeńskiej. Na pomnik jego złożyli się trzej artyści, zażywający największej dziś sławy w Wiedniu.

Sprawozdanie nasze z wystawy rzeźb i obrazów w Künstlerhausie powinniśmy uzupełnić kilku słowy o pracach artystów niemieckich i węgierskich. Polaków, zwiedzających tę wystawę, zajmował obraz Wilhelma Räubera, przedstawiający oddanie kluczów Warszawy „wielkiemu elektorowi." Pretensyonalne to płótno, które miało niemiecw pocieszyć za Matejkowską „Bitwę pod Grundwaldem," wcale współzawodniczyć nie może z historycznymi obrazami Matejki. Staranne oddanie kostiumów i broni nie wynagradza braku potężnej charakterystyki i porywającego kolorytu. Eugeniusz Blaas, który zeszłego roku zaslynął wenecyańską „Ninettą," kopiuje piękny swój model, zmieniając drobnostki i zowiąc go teraz „Lizą." Ninetta była praczką, Liza jest ogrodniczką, dźwigającą kosz z winogronami na głowie. Podobnie jak u Ninetty, pełno na obrazie tym żywych kolorów, zręcznie przez artystę zestawionych. Sama postać Lizy, ponętnej, młodej dziewczyny o okrągłych rysach i kształtach, odznacza się charakterem włoskim, występującym wybitniej, aniżeli u „Ninetty."

Z portretów studyuje widz najprzód dzieło najsłynniejszego dziś mistrza wiedeńskiego, Henryka v. Angeli; atoli Angeli dał się przyćmić innym. Portret czarno ubranej kobiety o pełnych kształtach, wznoszącej oczy w górę, jest wymuszonym, znać na prędce wykonanym. Znacznie większą wartość artystyczną posiada portret Luitpolda bawarskiego, wykonany przez A. Holmberga. Dzielną postać regenta bawarskiego odtwarzają obecnie najlepsi malarze niemieccy; atoli wyborny portret Holmberga prześciga pono obrazy Defreggera i Kaulbacha.

Z obrazów rodzajowych wspomnieć należy o Schmidta „Feuerbenhau:" do pracowni malarskiej wstępuje komisya, badająca bezpieczeństwo ogniowe; tęga bawarka, z której malarz zrobić zamierza boginię grecką, zakrywa obnażone swe kształty, na które członkowie komisyi wraz z kominiarzem spoglądają z minami oddanemi z humorem. Margitay wybornie przedstawił starego konkurenta, któremu młoda dziewczyna daje kosza, przytem, na ramach wyrzeźbiony jest koszyczek.

Z pejzażystów zasługuje na uwagę malarz wiedeński Józef Hofmann, którego krajobrazy należą do zakresu prawdziwie pomnikowego; niezwykła wielkość i powaga cechuje też obraz A. Meckela „Pasterki wielbłądów w Arabii." E. Schindler, może najpierwszy dziś pejzażysta wiedeński, idąc za modą, „Wybrzeże Raguzy" pokrył niejako warstwą sproszkowanej kredy. Doskonale natomiast wywiązał się z zadania swego Baisch, który przedstawił wieś po burzy; świeżość zroszonej murawy i czystość nieba działają tak niemal rozweselająco, jak widok przyrody samej.

Na zakończenie wiadomość o artystach polskich, którzy na polu muzyki zdobyli sobie rozgłos w Wiedniu. Z wielkiem uznaniem wita prasa wiedeńska Paderewskiego, który wraca z Paryża, gdzie zdobył sobie laury i względy salonów muzycznych na przedmieściu St. Germain. Niemniej pochlebnie wyrażają się recenzenci tutejsi o młodej śpiewaczce, p. Irenie Abendrotówney, która wystąpiła po raz drugi w operze nadwornej jako Rozyna w „Cyruliku sewilskim." Mimo iż drobny głos koloraturowej śpiewaczki uniemożliwia na razie osiągnięcie silnych efektów dramatycznych, artystka ogólne wzbudziła uznanie czystością i metalem głosu, wyborną szkołą i grą pełną wdzięku i humoru.

*Stwosz.*

## SPRAWY EKONOMICZNE.

### ZWROT CŁA.

Sprawa zwrotu cła od materyałów surowych przy wywozie tkanin bawełnianych za granicę, jest przedmiotem skrupulatnych rozważań w sferach urzędowych, a wielką budzi uwagę śród interesowanych przemysłowców. Jest to objaw zupełnie zwyczajny wobec szybkiego rozwoju tej gałęzi przemysłu w państwie i nadziei zwycięstwa przy współzawodnictwie z wytwórcami zagranicznymi. Dziś jest już sprawdzone, iż przy dogodnych warunkach dostawy, wytwory krajowe mogłyby łatwo zdobyć niektóre rynki zagraniczne. *Mosk. Wied.* zwracają uwagę, iż razem z wyrobami bawełnianymi znalazłyby korzystny zbyt na tych rynkach i inne wyroby nasze *ale tylko razem.* Tak np. wyroby rękodzielnicze razem z bawełnianymi miałyby większe powodzenie na rynkach perskich i rumuńskich. Jak wiadomo, najważniejszą tu jest tamą—cło, które ciąży na materyałach potrzebnych do wyrobów bawełnianych. Za bawełnę płaci się u nas cło w stosunku 1 rubla złotem od puda, co po potrąceniu zanieczyszczenia (w bawełnie amerykańskiej 4 funty na pudzie), czyni w walucie kredytowej 1 r. 65 k. od puda; nadto wytwórcy nasi, przy sprowadzaniu z zagranicy niezbędnych do fabrykacyi barwników i innych materyałów opłacają także cło. Tym sposobem od każdego z towarów bawełnianych krajowych opłaca się przeciętnie dwa ruble cła, o które fabrykanci zagraniczni nie mają pojęcia. Przy rozważaniu dodatnich i ujemnych stron naszego przemysłu, widzimy jego dogodności (z punktu kapitalistycznego) w znacznie niższej niż za granicą płacy zarobkowej. Do mniej korzystnych warunków należą u nas: kapitał, koszty urządzenia, opał (w miejscowościach bezleśnych) o wiele droższe niż w innych krajach. Do tego wszystkiego ciężar cła nie pozwoli ani na chwilę naszemu przemysłowi bawełnianemu wzbić się po nad potężnym zagranicznym. Nic są dziwne wobec tego prośby naszych przemysłowców bawełnianych, aby przy wywozie wyrobów zwracane było cło pobrane od materyałów surowych. Wiele jednak w tej sprawie jest agitacyj przeciwnych. Są obawy, że zwrot cła przyniesie straty skarbowi, gdyż oprócz bawełny opłacającej cło, w fabrykach naszych przerabia-

---

dla niej pożyteczne, działa w sposób całkiem osobisty i utylitarny. Nie sądźcie, iż pisarz taki, patrzący na pewien obraz lub posąg, widzi ten obraz lub ten posąg. Nie, on ma wzrok utkwiony w myśl własną, a w obrazie lub posągu widzi tylko to, co korzyść jakąś przynieść może rozwojowi tej jego myśli. Tem tłomaczą się dziwne sprzeczności inteligencyi bezwzględnej i spostrzeżeń przenikliwych, wychodzące z pod pióra, zwłaszcza jeśli kto, jak Shelley, prowadzi *memorandum* wrażeń, wyniesionych z muzeów. Czy znacie kartki, bardziej pozbawione słuszności krytycznej, niż te, które autor poematu *Cenci* poświęca *Sądowi ostatecznemu* Michała Anioła: „Nie innego nie mogę powiedzieć o geniuszu tego artysty, chyba tylko, że jest przeceniony. Nie dość, że nie posiada ani smaku, ani miary, ani poczucia ścisłych granic sztuki, ale nadto brak mu zmysłu piękna; a kto pozbawionym jest zmysłu piękna, tego udziałem nie może być potęga twórcza w dziedzinie ducha. Bo i czemże jest ten jego *Mojżesz*? Jakże daleki od wszelkiej wielkości i majestatu, a zaledwie nieco mniej potworny i wstrętny od swego historycznego pierwowzoru!" A dalej mówi o fresku Sykstyńskim: „Jest to *Tytus Andronikus* w malarstwie. Tylko że twórca jego nie Shakespeare." Czyż to nie wystarcza do odsądzenia człowieka tego od wypowiadania swoich zdań o dziełach sztuki? A jednak któż wymownicj od niego potrafił opowiadać o niektórych malowidłach, jak naprzykład o głowie Meduzy, która się znajduje w florentyńskiej galeryi Uffizi, a którą przypisują Leonardowi. Jest to zamieranie odciętej głowy. Usta otwarte, nozdrza ściśnione, oczy wylękłe grozą konania, a na pierwszym planie drgają i ruszają się ohydne sploty. Chociaż ta głowa już martwa, jej włosy przerażająco żywe. Węże tworzące to straszliwe kędziory, wiją się w pierścieniach zielonawych, ukazują języki, rozdymają gardziele. „Są to włosy z gadzin, które kurczące się i rozkurczające naprzemian, swymi splotami zahaczają o siebie, a ze zwojów bez końca błyskają oczkami, urągając męce i śmierci..." I z jakiemże to subtelnem zrozumieniem tego paradoksu artystycznego Shelley ciągnie dalej swój opis, potęgując tę „tajemnicę grozy i piękna!" Czyż można lepiej określić niektóre niebiosa Corregia, niż on to czyni w kilku słowach. *The sky is of pale aerial orange**). Ale wobec Michała Anioła, ażeby sobie przyswoić geniusz twórcy *Mojżesza*, Shelley musiałby był wyjść po za obręb zwykłego koła, wśród którego obracały się jego myśli, wówczas kiedy Meduza, przypisywana Leonardowi, i niebo Corregia nietylko nie raziły niczem jego przesądów, ale owszem przedstawiały pewne tajemnicze pokrewieństwo z jego własnemi pojęciami. Na dnie wszelkich naszych niedokładności krytycznych spoczywa zawsze ukryty egoizm, lecz zarówno jak wszelkiego rodzaju egoizmy i ten jest tylko jedną z form instynktu zachowawczego. Być może, że piękne marzenie Goethego o zrozumieniu wszystkiego, miałoby za wynik ostateczny — niemoc twórczą. A jeśli niesprawiedliwości Shelleya względem Michała Anioła i wielkich artystów chrześciańskich stanowiły nieodzowny warunek jego sposobu życia i czucia, zatem i pisania, któż go potępi za tę jego płodną niepojętność?

(D. n.).

*) Niebo wygląda jak blada pomarańcza powietrzna.

ną jest bawełna azyatyka, wolna od cła. Takie obawy w tym względzie wyraża również niżnogrodzki komitet jarmarczny, który z powodu podanego w roku zeszłym przez 116 frm memoryału o wielkich brakach i niezbędnych potrzebach w dziedzinie handlowo-przemysłowej, wyraził takie zapatrywanie: „Co do sprawy zwrotu cła za tkaniny wywożone za granicę, w stosunku opłaty clowej, pobranej od materyałów surowych,—celem ułatwienia współzawodnictwa towarom naszym, to zwrot taki byłby bardzo pożądanym, gdyż wpłynąłby na zniżenie cen towarów naszych, a w następstwie zwiększyłby niewątpliwie ich zbyt. Przy tem jednak zauważyć należy, że zastosowanie tego środka napotka niezwyciężone trudności w postaci dokładnego określenia ilości materyału zagranicznego, zawartego w towarze, nadto pomiędzy towarami wywożonymi znajdą się niewątpliwie wyrobione w kraju z samej bawełny środkowoazyatyckiej, wobec czego sprawę należy oddać do rozsądzenia rządowi“. Tak więc powyższy komitet jarmarczny uchylił się od popierania prośby przemysłowców o zwrot cła od bawełny, uzasadniając swoją odmowę naciskiem na bawełnę azyatycką. Była to odpowiedź bez dostatecznej znajomości rzeczy, komitet bowiem, jak się okazuje, nie posiada dokładnych wiadomości, jakie towary wywozi Rosya na rynki zagraniczne. Podług urzędowych danych („Obzory wnieszniej Torgowli“) średnia wartość puda wywiezionych za granicę tkanin bawełnianych wynosiła w 1885 r. 36 r. 68 kop., w 1886 r. 32 r. 5 kop.. w 1887 31 r. 32 kop., w 1888 r. (przez granicę europejską) 49 r. 32 kop. Ceny te świadczą, iż towary wywiezione na rynki zagraniczne wyrobione były z bawełny zagranicznej, podlegającej cłu. Gdyby istotnie wywożono z Rosyi tkaniny z bawełny azyatyckiej, wolnej od cła, to i w takim razie przy ograniczonej ilości tego produktu, zwrot cła nie przyniósłby skarbowi straty, gdyż w równym stopniu, jak wywóz towarów gotowych, powiększyłby się przywóz do nas bawełny zagranicznej, podlegającej cłu. Są przeciwieństwa: 1) cło od bawełny stanowi premię dla krajowego wytworzenia owego produktu i z tego względu jest bardzo pożądane; 2) równocześnie występuje ono jako przeszkoda w rozwoju handlu krajowego wyrobami gotowymi. Przeciwieństwa te możnaby pogodzić przez ustanowienie zwrotu cła przy wywozie wyrobów bawełnianych. Zobaczymy, jak tę sprawę rozważy w przyszłości komisya taryfowa.

---

# BADANIA NAUKOWE.

## KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE

**Stowarzyszenie dla popierania sądu polubownego pomiędzy narodami.** W początkach bieżącego roku zawiązało się we Francyi stowarzyszenie, stawiające sobie za cel przeciwdziałanie rozstrzyganiu międzynarodowych rozterek drogą krwawej walki, a wprowadzenie natomiast sądów polubownych. W jego odezwie czytamy: „Głoszono niegdyś, iż siła przewodzi prawu. Nastały czasy odwrotnego twierdzenia, mianowicie, iż prawo winno kierować siłą. Osiągnięcie takiego rezultatu stanowiłoby najszczytniejsze zwycięztwo cywilizacyi nad barbarzyństwem. Jednym z najskuteczniejszych po temu środków jest zastąpienie ślepych wyroków wojennych bezstronnem a sprawiedliwem postępowaniem sądowem.“ Na czele przyszłego stowarzyszenia widzimy w godności prezesa znanego ekonomistę Fryderyka Passy.

**Kongres międzynarodowy żeglugi wewnętrznej.** Stosunki handlowe i wogóle ekonomiczne coraz bardziej uwydatniają na sobie charakter międzynarodowy. Że tak a nie inaczej musi być i w dziedzinie stosunków komunikacyjnych, to nie wymaga dłuższych dowodzeń. Cóżby bowiem było, gdyby jakąś drogę żelazną lub kanał zakończono nagle przy granicy państwowej? Zwłaszcza konieczność międzynarodowego porozumienia jest konieczną w zakresie żeglugi wodnej, ponieważ rzadko która rzeka spławna należy do jednego państwa całym swoim biegiem. Z tego powodu od rządu belgijskiego w r. 1885 wyszedł projekt międzynarodowej instytucyi w tym względzie, która ukazała się też pod postacią kongresów. Dotychczas odbyły się trzy takie zjazdy, ostatni we Frankfurcie nad Menem w r. 1888. Do najważniejszych zagadnień należy pytanie: czyby nie udało się przenieść żeglugi morskiej w głąb lądu za pomocą odpowiednich urządzeń — kanałów, rozszerzenia rzek itd. Między innemi na ostatnim zjeździe rozpatrywano, przy jakich warunkach możnaby było uczynić Brukselę takim wewnętrznym portem morskim. Ciekawą jest także rzeczą, że wielokrotnie podnoszono pytanie, czy nie najlepiej byłoby wszelkie kanały, i morskie i lądowe, uczynić własnością państwa i najzupełniej wyjąć z pod władania prywatnego. O rozmiarach zjazdów i, co za tem idzie, ich znaczeniu, świadczy najwymowniej liczebność uczestników. Na ostatnim, frankfurckim, liczono 712 członków, między nimi 530 z Niemiec, 79 z Austryi, 29 z Francyi, 22 z Holandyi, 13 z Włoch itd. Następujący zjazd ma się odbyć w Manchesterze w roku 1890, gdzie właśnie budują się wewnętrzny taki port morski.

**Katalog systematyczny wydawnictw peryodycznych.** W Brukseli niedawno wyszła broszura niejakiego pana Nizet *Projet de catalogue ideologique des periodiques, révues et publications des Societés savantes.* Wykazuje on z całą słusznością, iż różne przeglądy naukowe, wydawnictwa peryodyczne itd. mnożą się i wzrastają bez końca. Właśnie w takich zbiorach ukazują się wszystkie najważniejsze prace i monografie ostatnich czasów. Kto zechce poznajomić się np. z postępami astronomii nowoczesnej, może tylko uczynić na podstawie rozpraw w takich czasopismach specyalnych. Ich ogół, jak trafnie powiada p. Nizet, stanowi istotny skarbiec wiedzy ludzkiej. Należałoby go przeto udostępnić odpowiednio do potrzeb pracowników, iżby oni mogli zawsze wiedzieć w kilku słowach, co na jakiem polu i gdzie zrobiono. Da się to osiągnąć przez utworzenie międzynarodowego stałego wydawnictwa, któreby systematycznie podawało zawartość wszystkich naukowych peryodycznych wydawnictw stosownymi działami, w ogólnych zarysach wyznaczało stanowisko autora i znajomiło z głównymi wynikami jego badań. Zresztą podobne próby, lubo na drobną skalę i w dziedzinie pojedynczych gałęzi wiedzy, tu i owdzie już robiono z wielkim skutkiem. Co do języka owego wydawnictwa, mogłoby ono być prowadzone odrazu w kilku, przynajmniej wskazówki co do każdej narodowej publikacyi, dla ułatwienia sprawozdania, możnaby kreślić w odpowiednim języku. Korzystając ze sposobności, zanotujemy ukazanie się po angielsku bardzo cennej pracy. Wyszła ona u Sonnenscheina w Londynie p. t. *The Best Books*, stronic 710. Mamy tu katalog wszystkich ważniejszych dzieł w różnych dziedzinach nauki, filozofii, sztuki i literatury do r. 1887. Weźmy np. mitologię. Znajdujemy 49 działów: 7 poświęcone pracom nad różnemi religiami, 2 ogólnym a 9 specyalnym dziełom w zakresie mitologii porównawczej i folkloru, wreszcie 29 mitologii i folklorowi oddzielnych grup etnicznych.

---

# LITERATURA I SZTUKA.

## ZE ŚWIATA.

### III.

Literatura portugalska (Dokończenie). — Romantyzm i szkoła koimbryjska. — Poezya narodowa. — Literatura brazylijska.

Do roku 1833 jedynem literackiem ogniskiem Portugalii była zawsze Lisbona: jej polityczna powaga wywierała wpływ dośrodkowej siły również na piśmiennictwo; skoro jednak Almeida Garrett wniósł z za gór w swej podróżnej torbie francuski romantyzm, rzucili się na to ziarno naprzód młodzi entuzyaści — studenci, a ci mieli swą stolicę Coimbrę; w Coimbrze więc, na uboczu, zaczął kotłować poetycki wrzątek tych młodych głów. Romantycy objawiali wszędzie te same instynkty: towarzysko-cygańskie; opisywać te posiedzenia, gdzie przy szklance wina stawiano gmachy z kłębów cygarowego dymu — byłoby powtarzać wszędzie widziane zjawiska. Dość, że przy Coimbrze pozostała do dziś dnia tradycya tworzenia się literackich grup, których zaznaczyć można dotąd dwie epoki: pierwsza w latach 1839—1845, druga mniej więcej 1870 r. Do pierwszych koimbryjczyków należą tacy: Serpa Pimentel, Jono de Lemos, Thomas Ribeiro; do drugiej Jodo Penha, Antheto de Quental, Gonçalves Crespo, Theofilo Braga.

Freire de Serpa przybył do Coimbry jeden z pierwszych, mógł się też zwać patryarchą cygańskiej braci. Tam wydał większą część poezyj, między niemi zbiór p. t. *Solaos*. Almeida Garrett był tym, który wskazał na korab ludowy: wszystko więc rzuciło się do „pieśni gminnej, tej arki przymierza.“ *Solao*, jak *Dolora* Campoamoza jest pochodzenia prowansalskiego, gdzie zwała się *Solatz* — od słońca; są to legendy z rzewnym, lirycznym nastrojem; poeta wskazał tą nazwą, że chce liczyć się do trubadurów.

Z nazwiskiem Jana de Lemos łączy się historya założenia literackiego dziennika *Trovador*, organu koimbryjskich romantyków; przedtem był de Lemos redaktorem pisma *Christianismo*; te dwa szczegóły są bardzo znamienne dla tendencyj romantyzmu — wrócenia koniecznie do wieków średnich.

Nieskończenie wyżej od tych wszystkich stoi poetycki talent Tomasza Ribeiro (ur. 1831 r.); natura to prawa i trwała w ukochaniu ideałów ludzkości i ojczyzny, lecz zacięta w swoich antypatyach, mianowicie w nieubłaganej nienawiści ku hiszpanom. W nienawiść tę usymbolizował wielki swój poemat epicki, stawiany przez niektórych zapaleńszych krytyków tuż obok Luzyad, p. t. *Dom Jaime*, czyli *Panowanie Kastylii*. „Wiecie, dlaczego napisałem tę powieść?— odzywa się w przedmowie. Oto, aby dać odpowiedź zachciankom aneksyonistów i być echem tego gromkiego: „Nie,“ przed którem nawet Napoleon zadrżał, zapytawszy portugalskiego szlachcica, czy życzymy sobie połączenia z Hiszpanią.“

D. Martin — typ nieugiętego portugalczyka — posiada dwóch synów: jeden z nich D. Jaime (Joachim), junak i awanturnik, uwodzi Estellę de Aragon, z familii hiszpańskiej. Bracia zabijają występną siostrę; sam uwodziciel, pokłuty sztyletami, odzyskuje przecież zdrowie, chroni się do Hiszpanii, przechodzi różne koleje, jako herszt rozbójników sieje postrach w samej stolicy; śród jednej orgii spotyka się z zabójcami Estelli, zastawia na nich sidła; wtem dowiaduje się, że córka jego, dziecię nieszczęsnego związku, żyje gdzieś w Portugalii. Wraca, znajduje ją w występnym domu — anielsko czystą; w uciesze tego odkrycia nie

chroni się nawet przed hiszpańskimi siepaczami, którzy go szukają; schwytany oddaje głowę na rusztowaniu. Nazajutrz wybucha rewolucya 1640 r., kończąca się odzyskaniem niepodległości.

Dumna i krwiożercza familia Aragon reprezentuje Hiszpanię, D. Jaime zaś Portugal; bohater konając woła:

I niech się rozgłosi śród świata,
Że umiera dziś pod ręką kata
Nie sam człowiek, lecz królestwo raczej.
Ten włóczęga połamany bólem,
Jest dostojnym i czystym symbolem:
Umęczone ciało ludu znaczy."

To „wcielenie narodu" jednak przedstawia się wcale niepowabnie; prosty bandyta i rozpustnik, ginący zasłużenie na szafocie, zamiast w tej walce, która właśnie ma wybuchnąć — to postać epiczna dość chybiona. Zdaje się, że romantyczna burza zagnała poetę między owe jaskinie zbójców, między owe lupanary, w których widok pijanego ojca, sięgającego po ofiarę, w osobie— jak się pokazuje — własnej córki, jest pomysłem arcyniesmacznym, między błyskających ciągle sztyletami szulerów, etc.; o ileż wspanialszą postacią jest nasz, cokolwiek podobieństwa z D. Jaimem mający Wallenrod!..

Wypada przedstawić moralną fizyognomię tego pierwszego dziś portugalskiego poety, a równocześnie ministra. Konserwatysta i tradycyonalista w swych przekonaniach religijnych i socyalnych, kładzie na czele swego *Credo* tak dziwne dziś i parafiańskie dla stolicy wyznanie: „Jestem chrześcianinem." Rzecz jednak nadzwyczaj zajmująca, co dziś w Portugalu jest miarą konserwatyzmu; dość przytoczyć kilka zdań z tego *Credo*.

„Kodeks karny winien przekształcić się na ambulatoryum, a więzienie na szpital. Prawo kryminalne zamiast być podręcznikiem moralnej hygieny, jest uświęceniem społecznej pomsty. Nasze ustawy są po większej części niedostateczne i niezrozumne; kodeks karny przedewszystkiem wydaje mi się pierwszym kryminalistą, etc." Tak mówiąc, zastrzega się Thomas Ribeiro, że nie jest rewolucyonistą; czy to jednak nie arcyciekawa rzecz, że tym językiem przemawia zachowawczy minister sprawiedliwości?..

Spółcześnie z tą starszą koimbryjską szkołą działał niezawiśle od niej poeta z silniej wyrobionym indywidualizmem: Luis Palmeirim (ur. 1825 r.). Syn generała i sam żołnierz, brał udział w wojnie domowej przeciw D. Miguelowi 1847 r. Wyrosłe śród walk politycznych jego piosenki, miały wielkie podobieństwo do Berangerowskich, a działały elektryzująco na masy ludu. Palmeirim jest typem śpiewaka-improwizatora i znakomitą ilustracyą odruchowej poetyckiej twórczości. „Poezya jest mi wrodzoną potrzebą, wyrasta jak lilia na morskim brzegu." Lopes de Mendonça, historyk literatury, opowiada dzieje powstania jednej takiej improwizacyi, z okazyi zesłania 40 rewolucyonistów przez rząd królowej Maryi do Afryki.

„Teatr św. Jana był pełny ludu; słyszano jedynie niespokojny oddech tłumu, jakby wybuchające w głuchych pomrukach uczucie zemsty, które ogarniało nawet najmniej egzaltowanych. Nagle podnosi się ponad głowami ciżby blade oblicze z włosami w nieładzie, z wargami drżącemi od rozdrażnienia, z oczami błyskającemi gniewem i natchnieniem — i wypowiada w jednym poemacie jasno i wyczerpująco to wszystko, co błędnie i niejasno snuło się po głowach oszołomionych bólem."

Ten poemat wnet śpiewali ślepcy po ulicach. Inny jego wiersz p. t. *Portugal* stał się hymnem narodowym. „Było państwo, co światu wydawało rozkazy i prawa; dziś ono upadło; było wielkie i potężne, dziś biednym żebrakiem; lecz dajcie mu jałmużnę silnego ramienia — może jeszcze z grobu powstanie." To przedstawienie narodu w postaci żebraka proszącego o jałmużnę to łez, to otuchy, to czynu i ta zwrotka każdej strofy:

„Talvez passa da campa surgir"

są istotnie pełne rzewności i razem energii. Rzewność i elegijny ton są wrodzone portugalskiej poezyi i noszą nazwę *Saudade*; poezye Palmeirimo przesiąkły niemi nawskróś; zdaje się, jakby tym smutkiem wiała nad duszami poetów pamięć Camoesa, każdemu z nich przytomna; nie było podobno jednego (prócz ojca Mecedo), któryby mu nie złożył hołdu; Palmeirim żywi dla niego szczególną cześć:

Ale portugalskiej sławie
Dzisiaj, gdy rządzi bezprawie,
Sam jeden Camoes nie przestał
Służyć jeszcze za piedestał.

Poezye tego pieśniarza wyszły w trzech częściach p. t.: 1) Poezye liryczne, 2) ludowe, 3) Wspomnienia półwyspu. Na szczególną uwagę zasługują te drugie: nikt tak daleko jak Palmeirim nie posunął romantycznej formuły: powrotu do pieśni ludowej; bierze np. najpopularniejszą ową kołysankę:

Pozwólcie mi róść przy świetle księżyca,
Bo jestem maleńki i chodzić nie umiem —

i wysnuwa z niej waryanty w tymże ludowym tonie, na temat patryotyczny.

Dziś, czy umyślnie, czy z naturalnej kolei rzeczy, usunął się Palmeirim od literackiego ruchu i jest już tylko relikwią szanowną.

Z najnowszych koimbryjczyków Jono Penha, zgromadził w epoce 1868—73 około swego imienia najżywsze sympatye młodzieży. Imię Joao przeszło w symbol, a oznaczało towarzyskość, artyzm, *bohemię*. W latach tych kierował literackim dziennikiem Folha (Listen). Był Penha jako redaktor niesłychanie twardym rygorzystą w kwestyach języka i wierszowania i odmawiał wstępu do swego klasycznego pisma nawet takim, później znakomitym nowelistom, jak Benito Moreno.

Przyjacielem jego i uczniem jest Gonçalves Crespo (ur. 1846 r.), pochodzący z Brazylii i stamtąd czerpiący temata. Cytujemy jeden utwór p. t. *Siesta*:

W hamaku trącanym rękami murzyna
Jak z piany kołyska,
Urocza kreolka do snu się rozmarza,
A nad nią mulatka kiściami wachlarza
Piór białych połyska.

Po hamaku prostych, wspaniałych bambusów
Drżą cienie nieśmiałe;
I drzemie kreolka łagodnie uśpiona,
Z śnieżnobiałej sieci zwisły jej ramiona
Odkryte i białe...

Wtem hamak, co wkoło mocnymi zapachy
Powietrze przesyca,
Zatrzymał się nagle, bo murzyn lubieżny
Zagląda do sieci przez rąbek jej śnieżny
Na pani swej lica.

W hamaku chwilami poruszy się piękna
I wyjdzie z ust śpiącej
Urwany ton pieśni rytmicznej i smętnej,
Którą tam osadnik śród nocy ponętnej
Zawodzi płaczący.

I hamak pomiędzy drzewami znów buja
I piękna znów marzy;
W oddali, gdzie lasów ponurych gęstwina
Żałośnie jęcząca piosenka murzyna
W powietrzu się waży.

W hamaku pachnącym zasnęła naprawdę
Śród słońca upału;
— Murzynie, wolniejszym rozkołysz sieć ruchem,
Mulatko, powiewaj wachlarzów twych puchem
Pomału, pomału!..

Nie wymieniamy bardzo wielkiej reszty, roszczącej także prawa do nieśmiertelności imieniem poetów; wspomnimy tylko, że prócz tych dwóch literackich ognisk: Lisbony i Coimbry istnieje jeszcze trzecie: Rio de Janeiro, stolicy Brazylii, od r. 1807 bowiem, tj. od epoki utworzenia dynastyi brazylijskiej, rozwinęło się dość pokaźnie brazylijskie piśmiennictwo; wskutek rozstrzelenia się jednak na dwie półkule, powstają w języku portugalskim dyalektyczne różnice, szkodzące jego jednolitości.

*Egrot.*

---

## LITERATURA POLSKA.

Wilhelm Feldman. *Nowele i obrazki.* Kraków.

Zjawiskiem w literaturze nie są wyżej wymienione nowele, może być niem raczej sam autor— prawowierny żydziak, wychowanek w chusydzkiej „klaus" w Zbarażu, jednego z najciemniejszych zakątków Galicyi. Do niedawna nieumiejący nawet mówić po polsku, wyrósł za kilka lat, rzec można w oczach naszych, na gorącego wyznawcę zasad demokratycznych, stojącego dziś na wyżynie nauki współczesnej, a dobijającego się jako publicysta i autor dwóch powieści skromnego w literaturze polskiej kącika. Jeżeli p. Feldman tym jednostajnie przyśpieszonym krokiem znaczyć będzie dalszą karyerę literacką, to niechybnie zajdzie daleko. Do tej pomyślnej wróżby uprawniają ostatnie jego nowele, drukowane częściowo w *N. Reformie*, *Ogniśku* itp. a wydane obecnie w osobnym zbiorku, dzięki ofiarności posła d-ra Arnolda i Rappaporta, rzeczywistego „mecenasa" sztuki i literatury.

Sfera, w której autor się obraca, wykracza po za granicę życia żydowskiego, będącego dotychczas wyłącznym przedmiotem jego pióra; świat proletaryuszów, tak wiejskich jak i miejskich, a nawet lekkoduchy artystyczne znajdują w obecnych nowelkach prawdziwych przedstawicieli. Główną jednak kopalnią młodego autora pozostaje zawsze ta warstwa ludu, z którego wyszedł, z którym łączą go niezerwane jeszcze węzły rodzinne, społeczne i plemienne. Przypatrzmy się więc przedewszystkiem tej ostatniej, jak to pod lupą krytyczną wygląda brudna i cherlawa dziatwa Izraela, ujęta w pozłacane ramki nowelisty.

Aron (z powiastki *Zapóźno*) to małomiasteczkowy geszoftsman, podkręcający jeszcze kędzierzawe *icki* pod uszami, który u lichwiarzy powiatowych skupował weksle właścicieli dóbr, obdłużonych zaś i pozbawionych kredytu panków przyciskał do muru i wystawione na licytacyę posiadłości — dokończmy sami — kupował za bezcen. Bo, żeby tego kalibru lichwiarz dał się nawrócić przez swą szlachetną żonę, która za życia była mu cierniem w oku, a na łożu śmiertelnem — „kochanką," żeby taki rafinowany handlarz z idealnych pobudek zostawił obdłużonego właściciela nadal na folwarku, „aby sobie gospodarował spokojnie," to chyba wprost niepodobne do prawdy. Jak *psychologicznie* nienaturalną jest owa romantyczna miłość Arona — u żydów bywają przykładne stosunki rodzinne, a miłość gra w nich najmniejszą rolę — tak *społecznie* niezgodna z rzeczywistością jest owa wspaniałomyślność lichwiarza, tuczącego się jak oni wszyscy krwią ludzką i nieznającego, co to sumienie i litość dla swych ofiar. Rozumiem, że nowelista, zdejmujący obrazek z życia żydowskiego, może i powinien niem artystycznie być wzruszonym; ale na tyle trzeźwości wymaga się od malarza, żeby uczuć swych nie zabarwiał sentymentalną koloraturą a oskrzydlonej fantazyi oszczędzał karkołomnych skoków. Przemawiają za tem w tym wypadku nietylko względy estety-

czne, ale i społeczne. Wobec zmateryalizowanej i — powiedzmy otwarcie — podłej „inteligencyi“ żydowskiej, powinien pisarz tego kierunku jak Feldman piętnować rozpalonem żelazem wszystkich łotrów, począwszy od lichwiarzów, jak Aron, a skończywszy na...

Pełen psychologicznego realizmu jest drugi obrazek, przedstawiający nowożeńców po ślubie (*Idylla*). Siedemnastoletni „bucher,“ zakładający po raz pierwszy szabasową czapkę, jak szedł do ślubu z radością dlatego, że było dużo ciast i prezentów, i że nie uczył się już z „mełamedem,“ tak w dzień po ślubie siedząc obok swej pulchnej samiczki, której dotychczas nie znał, a która ma być odtąd spólniczką jego myśli, uczuć i interesów, doznaje niewymownych dreszczy... Słowa wujaszka, który wtajemniczał go w pożycie małżeńskie, potrąciły w nieśmiałym i nieświadomym młodzieńcu te uśpione dreszcze popędów, które rozbiegają się po całym jego organizmie i udzielają się okrągłej Perli... Lecz i w tym obrazku nie obeszło się bez romantycznej dekoracyi. Listki z dziewiczego wianka Perli padają gdzieś na aksamitnej murawie w lesie, pod lazurową błękitów oponą, wśród świergotów ptasich i rozmarzonych szumów drzew... a przecież naturalniejszym byłby obrządek rytualny, odmalowany z etnologiczną wiernością.

Na podstawie dokładniejszej obserwacyi życiowej i głębszej analizy psychologicznej odmalowano typ zatwardziałego chusyta (w *Ofiarach*), który z gmachu prastarej wiary ojców nie dałby wyrwać ani jednego starego gonta, z obawy, żeby otworem tym nie wpadły deszcze lub śniegi i nie przegniła od nich cała budowa. Była to prawdziwa *opoka*, na której bezpiecznie spoczywała twierdza Izraela, istna *opoczysta mumia* z sercem kamiennem dla własnych dzieci, ich zabójca moralny na chwałę Jehowy i wybranego ludu.

Pieniędzmi szafował hojnie na „dobre uczynki.“ Żeniącemu się synowi *cadyka* posłał w darze srebra wartości kilku tysięcy, na rzecz pobożnych żydów w Jerozolimie, dawał znaczne *neduwy*, karmił i poił rzesze chusytów, a własnemu synowi odmawiał kawałka chleba i pozwolił mu marnie zginąć. Dopiero po śmierci jedynaka, po utracie całej rodziny i majątku, zachwiał się ów most ślepej wiary, po którym stąpał bezpiecznie przez najgłębsze tonie i przepaście. Z uczuciem, jak gdyby mu szpilki wbijano w ciało, odczytywał błagalną prośbę szlachetnego jedynaka, który tak odzywał się o swoich współwyznawcach: „Miej wzgląd, najdroższy ojcze, i chciej zważyć, że nie jestem człowiekiem, coby przy ogniu cudzych cierpień piekł sobie słodkie ciasta. Chodzi mu o tych, co biedni są i nieszczęśliwi i ciemni, co jako krety ryją tam, gdzie słońce nie dochodzi i gryzą korzenie roślin pożytecznych na szkodę matki-ziemi, a sami pożałowania są godni, gdyż nie wiedzą, co to blaski i ciepło słońca.“ W duszy zbuntowanego „szermierza“ wiary szalała wtedy gwałtowna burza...

Szkoda tylko, że końcowe rozwiązanie tego psychologicznego szkicu jest melodramatyczne. Żydzi popełniają wprawdzie haniebniejsze, a nawet ekonomiczne i moralne o wiele szkodliwsze czyny, niż rozkopywanie grobów rodziny dla dostania pieniędzy, ale chusyci, wcale zresztą niechciwi mamony, jak Abraham, mniej są do takich czynów zdolni, niż starsi ich „bracia,“ rycerze kapitału. Niedostatecznie umotywowaną wydaje się cała końcowa zmiana w Abrahamie, który żywił przez całe życie śmiertelną nienawiść do „gojów,“ a teraz nagle ściska dłonie ich i otwiera im swoją kiesę; nie na miejscu wydaje się cała rodzina chusyta: Ryfka „wyznająca na śmiertelnem łożu, że ginie z miłości“ (!), córka „wyznająca przed ubóstwiającym ją ojcem, że jest śmiertelnie zakochana w oficerze,“ a z którym „w przededniu ślubu ucieka,“ a wreszcie i sam syn wyrodny.

Uogólniając nasz przegląd obrazków żydowskich, powiemy, że p. Feldman przedstawia psychologicznie wiernie typy żydowskie — zawsze jeszcze typy — znane nietylko z obserwacyi, ale z własnego doświadczenia w dzieciństwie. Że jednak postaciom swym wkłada w usta i w piersi myśli, uczucia i dążenia, które z powodu przebywania autora w innej sferze i przejęcia się nowoczesnemi zasadami stały mu się dziś najdroższymi i najważniejszymi.

Artystycznie i psychologicznie mniej wykończone, ale ze względu na tendencyę społeczną o wiele donioślejsze, są szkice nowelistyczne, osnute na tle życia proletaryatu. Chłopak wiejski, biedaczysko gołe i bose, bo nie dla chamskiego syna futro i kamasze, idzie w świat szukać aniołastróża, o którym opowiadali mu w domu, że oblany słonecznym blaskiem i przystrojony w błękit niebieski, unosi się na skrzydłach opiekuńczych nad każdym dobrym człowiekiem, czuwając nad nim z wysoka, strzegąc go i broniąc... Rozczarowany w kościele, odpędzony ze dworu, wraca Józek z tej rozmantycznej pogoni, zbity na kwaśne jabłko. Końcowy morał symbolicznej powiastki poucza nas, że pięcioletnie pacholę pomne gorzkiego doświadczenia, polegało odtąd na własnej tylko pracy — nie szukając wśród duchowieństwa, ani między panami aniołów opiekuńczych (*Za aniołem stróżem!*) Przeprowadzenie głównej postaci jest ściśle analityczne, brak tylko uzasadnienia w założeniu samem, dlaczego Józek stał się marzycielem i tak daleko odbiegł od swoich rówieśników.

Obrazek społeczny *Ze świata nędzy* przedstawia dwa rodzaje proletaryuszów: stróża z rodziną, pozbawionego miejsca i prawnika, utrzymującego 25 złotymi miesięcznie całą rodzinę; obaj wydziedziczeni ze wszystkiego, co stanowi powab życia, nadzieję przyszłości, wyzuci z szat indywidualizmu olbrzymiejią do wysokości przedstawicieli typów klas całych — wszystko niestety zanadto prawdziwe, niedomaga jednak pod względem artystycznego uprzedmiotowienia. Od najosobistszej skargi autora, zaraz na pierwszej karcie „jestem ostatniem, najnędzniejszem stworzeniem pod słońcem; co to za psia dola! siedem godzin dziennie robić jak maszyna niewolniczo, bezmyślnie, a przecież z natężeniem, przepisywać najkaligraficzniej przeklęte te kawałki urzędowe i cieszyć się nadzieją, że pierwszego dostaniesz aż 15 blatów,“ od tej pierwszej skargi aż do lirycznego wylewu na ostatniej stronicy: „O Chrystusie miłością zbawiający maluczkich i biednych, i wy wzniosłe ludzkości ideały, nie dla was miejsce u schyłku naszego wieku!“ — wszystko to, co prawda, bezpośrednio odczute i doświadczone, ale nieprzetrawione, niestopione w tyglu artystycznym, wyłazi bokami własnego „ja,“ jest oburzeniem, skargą, wreszcie wcale nieważną, na opłakane stosunki społeczne— idzie tylko o to, i w tem leży cała sztuka, aby przedstawić stosunki te tak, iżby mówiły same za siebie, tj. przedmiotowo.

*Lekkoduch* wzięty z życia na poły estetycznego, na poły fantastycznego, maluje dwóch przyjaciół, z których jeden zaślepiony w „ladacznicy,“ drugi nie mniej lekkomyślny postanawia wyleczyć pierwszego za pomocą arcy-awanturniczego i zupełnie nieumotywowanego fortelu, który grozi utratą życia przyjaciela a kończy się amputacyą jego nogi.

Na tem zamykamy nasz pobieżny rozbiór nowelek p. Feldmana. Nie olśniewają one czarem fantazyi, nie uderzają świeżością motywów, nie celują artyzmem kompozycyi, ani wykonania, ale w każdej z nich tkwi myśl zdrowa, jędrna, demokratyczna, niemałej pod względem psychologicznym lub spółczesnym wagi. Oby ziarna te w sercach współczujących czytelników rozrosły się bujnie i zakwitły koroną społecznej miłości, tej jedynej przewodniczki, przyświecającej nam po ciemnej i ciernistej wędrówce życia...

*H. Biegeleisen.*

## SZTUKA W SŁUŻBIE.

### V.

Przy dzisiejszym stanie rzeczy traci zarówno publiczność, jak autor i aktor.

Publiczność — to przedewszystkiem zaznaczyć trzeba — nie składa się wyłącznie z tego jednego pierwiastku społecznego, dla którego przeznaczona jest dzisiejsza sztuka. Prócz niego istnieją jeszcze dwa inne: pierwszy, liczniejszy, to lud; drugi, mniej liczny, zasługuje na nazwę arystokracyi myśli i składa się z uczonych, badaczów, filozofów, pisarzów, działaczów społecznych. Obie te grupy wcale nie posiadają obecnie teatru, który jest ważną i domagającą się zaspokojenia potrzebą ich umysłów. Teatr dzisiejszy jest teatrem mieszczaństwa. Jako liczna grupa, mająca nader określony charakter intelektualny, posiada ono tak dobrze, jak każda inna grupa społeczna, prawo do estetycznej rozrywki, zastosowanej do jego poziomu umysłowego i uczuciowego; nie posiada zaś tylko prawa do opanowywania środków tej rozrywki wyłącznie dla siebie, nie uwzględniając istnienia innych grup, których potrzeby są równie ściśle określone i prawny byt mające, choć zgoła odmienne. Lecz i mieszczańska publiczność jest przez dzisiejszą sztukę wyzyskiwana.

Publiczność ta ma gusta estetyczne niewybredne, widnokrąg myśli ciasny, skalę uczuć nie wysoką, lecz trzy te w duchowem jej życiu czynniki nie są wielkościami stałemi i niezmiennemi. Gust podlega kształceniu się, widnokrąg myśli daje się rozszerzyć, skala uczuć podnieść, a zadanie takie dla sztuki dramatycznej jest łatwiejsze niż dla innej, gdyż silnie uderza ona na wyobraźnię, gra na nerwach widza, seryą skombinowanych umiejętnie, jak harmonia muzyczna wrażeń, opanowywa jego uczucia, wymową zdolna jest pociągnąć myśli. Gdyby pisarz dramatyczny nie lękał się wprowadzić do utworu swego nieco myśli i odtworzyć w nim prawdę życiową, chociby tylko ze sfery zrozumiałej dla mieszczaństwa i przezeń ulubionej to jest jego własnej; gdyby nie kroił fraków na talent swego kolegi aktora, lecz z obserwacyj życiowych tworzył istotne typy współczesne; gdyby aktor zdolny był rozzuć się z płytkich ambicyj, podsycanych udzieloną mu dzisiaj bezgraniczną swobodę w odtwarzaniu szablonów scenicznych, zwanych utworami dramatycznymi — wtedy spółka ich z łatwością przygotować by mogła taki grunt dla gustu publiczności, na którym wzrosły by wkrótce pragnienia, sięgające wyżej nad ścianki codziennego i pospolitego życia.

Lecz zadanie takie nie uśmiecha się ani sztuce, ani istniejącej dla niej literaturze, gdyż bądź co bądź jest trudniejsze od chwilowego zabawienia tłumu, łaknącego igrzyska. W tem co bawi tłum ów sztuka i literatura szukają usprawiedliwienia swego ubóstwa. Jeśli na scenie spotykamy sztukę, która jest policzkiem danym rozsądkowi, estetyce, prawdzie, wtedy w obronie sztuki słyszymy zesłanie się na gust publiczności. Lecz któż gust taki zaszczepia, kto go utrzymuje i podsyca, jak nie ci dwaj przedsiębiorcy mieszczańskiej zabawy, autor i aktor?

Wyobraźmy sobie, że osobie z natury zgryźliwej, a z przypadku przejedzonej, śni się w nocy brzydki indyk. Na drugi dzień osoba układa z majaczeń niezdrowej wyo-

brażni komedyę, a żeby ludzie zbyt nie sarkali przeciw temu rozdziałowi z sennika egipskiego, osoba dodaje jej tendencyę. Powiada np. że indyk, który ją trapi w sennem marzeniu, jest najzłośliwszym z indyków, pełnym przewrotności i nieposzanowania dla czci niewieściej. Na trzeci dzień teatr w Paryżu, Berlinie lub Warszawie wystawia tę komedyę, a artyści — znani, znakomici i nieporównani — przyjmują w niej udział, wychodząc z tej zasady, że talent ich tak jest wielkim, iż potrafią udać nawet indyków, jakkolwiek sami są ludźmi. Istotnie, tak grają, że upojona publiczność gotowa jest przysiądz, że widziała na scenie prawdziwych indyków, tych samych, które zatruły sen przejedzonej osoby. Taki jest nagi szkielet stosunku między autorem, publicznością i aktorem. W tym stosunku kryje się wiele humoru, ale tak gorzkiego, że po chwilce refleksyi, zamiast śmiechu, twarz się nam wykrzywia kurczem przygnębienia, bezdennej nudy i żalu do wieku, w którym żyć wypadło. Autor, który oszukuje publiczność, zalecając jej sny swoje, jako rzeczywistość, artyści, którzy drwią sobie z publiczności, nadając chimerom siłą swego talentu pozory realnego bytu, publiczność, pozwalająca się obałamucać, gdyż chce być zabawioną—to wszystko będzie źródłem rozweselenia dla przyszłych pokoleń, lecz dla nas jest zmorą, straszniejszą od indyka.

Powiedziałem, że w tym stanie rzeczy autor i aktor tracą tyle co publiczność, lub więcej. Pierwszy udręcza swój umysł poszukiwaniami konceptu, zamiast rozwijać go i wzbogacać głęboką i sumienną obserwacyą współczesnego życia. Talent jego więdnie w ciasnych ramkach scenicznego szablonu. Utwory jego nie dostają się do literatury i istnieją tylko na scenie, która zapewnia im byt krótkotrwały i zależny od poparcia aktora. Każda sztuka, którą napisze, przeznaczona jest do tego by odegrał ją znany X. lub znakomita Y. Jeśli oni odmówią swego w niej udziału, sztuka upada, pewna suma talentu, pracy, zabiegów autora zostaje zmarnowaną. Jeśli przeciwnie wielki X. i nieporównana Y. przyjmą jego sztukę i grą swoją zapewnią jej powodzenie, to przecież zdarzyć się może, iż ludzie ci ustąpią ze sceny, lub umrą, a wtedy sztuka, jak odzienie zbyt przestronne dla talentów nowych lub pozostałych, idzie do archiwum, gdyż niema komu jej grać. Gdzież zyski?

Talent aktora podlega również wpływom szkodliwym, które rozwoju jego nie popierają wcale. Dawniejsze utwory dramatyczne ściśniały wprawdzie własną inwencyę aktora, gdyż dostarczały mu więcej, niż dzisiaj typów gotowych, określonych ściśle i zakończonych, lecz typy te były zarazem wielkie i jednolite, niepospolite i realne, one ukazywały aktorowi dalekie ideały, które należało odtworzyć, a ku którym dojść można było tylko drogą ustawicznego doskonalenia własnego umysłu, dobywając stopniowo ze swej duszy pierwiastki talentu, zbliżające szczeble wielkich uczuć i myśli. Dziś nikt nie ściśnia lotu jego fantazyi, nikt nie wskazuje szlaków dla jego twórczości, nikt nie ogranicza własnej jego inwencyi. Przeciwnie wszystko pozostawione jest jego woli, kapryssowi, instynktowi, usposobieniu. Między zasobami jego talentu i materyałem, jaki mu dostarczają pisarze, nastąpił stosunek odwrotny, przewaga jest na stronie pierwszych i przewaga ta nie przynosi talentowi pożytku. Wprawdzie aktor sam malować musi blade wzorki, otrzymane od pisarza, i zniżać się musi do tego co ma być odtworzone; wprawdzie on to stwarza teraz postacie dramatu czy tragedyi, a jeśli posiada istotny talent, wtedy staje się prawdziwym autorem, układa sztuki, komponuje typy, ale w kolekcyi ich brak mu wielkich charakterów, gdyż te są wykluczone z szablonów, którymi zaopatruje go wspólnik jego, pisarz. Jeśli jest bystrym spostrzegaczem, wtedy brak życiowej obserwacyi w utworach pisarza uzupełnia własnemi spostrzeżeniami, własną znajomością życia i wtedy stworzone przezeń typy zbliżać się mogą do prawdy, lecz wogóle zbyt wiele musi uzupełniać i zbyt wiele sam stwarzać, by typy jego mogły być zawsze nowe, jednolite i zakończone.

Talent jego biegnie również w kierunku konceptu, rozwija się tylko do pewnego kresu, przy którym zatrzymuje się, nie widząc potrzeby iść dalej, odnajduje jakąś wygodną dla siebie foremkę, którą rozmaicie wygina dla upozorowania, iż coraz to nowej używa, lecz nigdy nie posunie się do szukania lepszej i szlachetniejszej.

Na takie to niewesołe refleksye naprowadza współczesna sztuka dramatyczna, zbudowana na gruzach tej, której duszą, treścią, światłem była literatura. Treści do tych refleksyj dostarcza nie ta lub owa ze sztuk, któremi się karmi europejska publiczność, nie ten lub ów z fabrykantów tych sztuk, lecz cała powódź tych ostatnich i cały legion ich twórców. Krytyka sarka niekiedy na liche płody dzisiejszej muzy dramatycznej, lecz nie chce czy nie może widzieć przyczyn ogólnych, które z muzy tej uczyniły pospolitą w domu mieszczańskim służebnicę, zniewoloną do wyśpiewywania zwrotek jednej i tej samej piosnki. Stan taki muzy owej jest wytworem wpływów dziejowych, krytyka odwrócić ich nie może, lecz siły ich przeceniać nie powinna i zapominać nie powinna, że wpływy te niezdolne są wytworzyć dla ducha ludzkiego formy skrzepłe, stałe, niezmienne, i że te lub inne zapotrzebowania estetyczne, umysłowe, moralne, piętnem epoki będące, stanowią tylko zjawisko przejściowe.

*F. G. Brodowski.*

---

# OSKAR KOLBERG.

W tych dniach przypadła pięćdziesiąta rocznica działalności Oskara Kolberga na polu poszukiwań ludoznawczych, którą uczczono w Krakowie. Przeszło dwadzieścia tomów zebranego materyału świadczy wymownie, że jubilat żwawo się krzątał około pracy. W przeciągu całych dziesiątków lat był na wózku chłopskim, przebiegając z jednej okolicy kraju do drugiej. Sandomierskie, Krakowskie, Wielkopolska, Lubelskie, Radomskie, Kujawy, wreszcie Mazowsze złożyły się na dwadzieścia kilka seryj: *Lud, jego zwyczajów, sposobów życia, mowy, podań, obrzędów, gusel, zabaw, pieśni, muzyki i tańców*, oraz na *Mazowsze*. Przynajmniej na polu zbiorów pieśni i melodyj jeden ten człowiek dokonał więcej, aniżeli wszyscy inni u nas. I dodajmy, że rozpoczął swoją działalność w r. 1839 a prowadził ją przez lata często zupełnej obojętności dla ludu i ludoznawstwa.

Kolberg jest z zawodu muzykiem. Do ludu zwrócił się pierwotnie jedynie w celu podsłuchania wątków melodyj i zużytkowania ich później w pomysłach kompozytorskich. O jakichś szerszych zamiarach w jego działalności nie było wówczas mowy. Zebrane materyały drukował w *pieśniach ludu polskiego*, początych w r. 1842 i prowadzonych do r. 1857. Praca ta jest wolną najzupełniej od wszystkiego, co znajduje się w związku z melodyami i pieśniami ludowemi i w gruncie rzeczy możemy powiedzieć, iż była jedynie rabunkiem, dokonanym na ludzie w widokach pomnożenia rozrywek warstw wyższych. Zabierano ludowi jego skarby bez dalszej myśli o nim samym. Dopiero z biegiem czasu późniejszy autor *Ludu* przeszedł na stanowiska szersze i zarazem pożyteczniejsze dla nauki. Doprowadzony został do tego zapisywaniem okoliczności, jak wesele, zabawa, pogrzeb, przy których ukazywało się ta lub inna pieśń z melodyą. W ten sposób powoli poczynał gromadzić materyał faktyczny, dotyczący zwyczajów, przesądów, podań, klechd, obrzędów a przedstawiający już wartość. Zresztą należy dodać, iż pierwotne zabarwienie pozostało trwale i stale panującem u Kolberga. Pieśń z melodyą zawsze stanowi u niego jądro, wówczas gdy inne strony życia ludowego zajmują miejsce daleko podrzędniejsze. Często się zdarza, iż tego rodzaju materyał jest tylko przepisaniem z obcych już drukowanych zbiorów, o czem zresztą autor sumiennie zawiadamia. Zdarza się też, iż w niewielkiej książeczce Petrowa *Lud ziemi dobrzyńskiej* więcej mamy szczegółów z prawa zwyczajowego, aniżeli w dwudziestu kilku Oskara Kolberga. Względnie podobne ubóstwo znajdujemy w wielu razach u naszego jubilata.

Wiemy, że Kolberg w zbiory ludoznawcze został wciągnięty dopiero zczasem i że pierwotne zamiary jego nie sięgały tak daleko. Stąd pochodzą wszystkie ujemne strony jego działalności w tym kierunku. Wartość poszukiwań ludoznawczych bezwarunkowo zależy od odpowiedniego fachowego i systematycznego wykształcenia, którego, jak łatwo odgadnąć, brakło człowiekowi, co zwrócił się do ludu jedynie w celu podsłuchania jego wątków melodyjnych. Najlepsze zamiary nie zastąpią tego braku. Zresztą Kolberg rozpoczął swą działalność, kiedy nawet nie można było uzupełnić owej szczerby za pomocą wskazówek z drugiej ręki i kwestyonaryuszów. Naturalnie, skutkiem tego zbierał tylko to, co mu się samo nawinęło pod rękę, omijając rzeczy wielkiej wagi, jeżeli one nie nasunęły się w oczy, a za to zwracając nadmierną uwagę na drobiazgi mniej znaczne, jakkolwiek zanotowanie pierwszych było tylko sprawą świadomości. Weźmy chociażby obrzędy pogrzebowe. Kto zdołał zebrać kilka szczegółów, zapisanych w *Ludzie*, mógłby wciągu dalszym nagromadzić mnóstwo innych, związanych z tym obchodem. Tymczasem, ktoby chciał pisać o pogrzebie u naszego ludu w oświetleniu ogólno-etnograficznem, wkrótce zauważyłby iż u Kolberga są luki znaczne. Weźmy jeszcze jeden przykład. Dla ludoznawstwa, zwłaszcza antropologicznego, nietylko wartość posiada zapisanie jakiejś pieśni, lecz niemniej ważnem jest także zanotowanie uzdolnień poetyckich ludu. Przypuśćmy np., iż w Krakowskiem wszyscy mieszkańcy wioski dostarczają sporo materyału w tej mierze, niektórzy zaś odznaczają się nadzwyczajnym zasobem pieśni; w innej tymczasem okolicy może istnieć ta sama ilość, tych samych piosnek i wątków, lecz tylko wyjątkowe jednostki są źródłem do zapisywania i to jeszcze ubogo uposażonem. Naturalnie, zapisywanie podobnych szczegółów dla Kolberga, gdyby przeczuwał znaczenie ich dla psychologii naszego ludu, a raczej oddzielnych jego odłamów, nie stanowiłoby żadnej trudności. A takich faktów moglibyśmy podnieść bardzo wiele...

Dziwnem się może wyda, iż kiedy innym brak słów dla wywyższenia zasług autora *Ludu*, my podnosimy słabe strony. Sądzimy wszakże, że tego rodzaju krytyka jest dlań większym szacunkiem, niż bezmyślne czołganie się. Nieraz przypadło nam korzystać z prac Kolberga i często nawet zaglądamy do nich — jest to najlepszem świadectwem, jak go cenimy. Posiada on wielkie zasługi, lecz w żadnym razie nie mógł uczynić tego, co przerastało czasy, w których zbierał i przygotowanie, z jakiem przystąpił.

*K.*

# MALARSTWO.

*Fryne* Siemiradzkiego.

Co to jest? Ludzie tak spowici, jak mumie egipskie, ludzie, płonący rumieńcem wstydu od nagości, ludzie tak wstydliwi, że z przyzwoitego języka wyrzucili nazwy wielu członków a oczy zamknęli przed ich widokiem, ludzie gardzący grzesznem ciałem — idą oglądać na wystawie publicznej obnażoną kobietę i dzielić zachwyt jej otoczenia? A kto owa kokota? Męczennica, święta, niepokalana zmazami ziemi? Nie — jak się dziś zowie — kobieta grecka. Bo chociaż my z dość naiwną czcią każdą postać świata klasycznego stroimy w promienie szczególnej chwały, właściwie Fryne była w Atenach tem, czem w Warszawie jakaś Mańka lub Józia, sprzedająca się i kupowana przez bogatych młodzieńców i starych rozpustników. Niszczyła ich na zdrowiu, obdzierała z pieniędzy, lekceważyła obyczaje i srom kobiet przykładnych, które patrzyły na nią z widoczną wzgardą a ukrytą zazdrością i zapełniała swemi szaleństwami całą Grecyę. Pewnego razu przyszedł jej zuchwały pomysł zrzucenia szat, wyjścia w morze i ukazania się pobożnej poezyi, jako Wenus narodzona z piany. Podanie mówi, że tłum, zapomniawszy o zniewadze religijnej, powitał ją uwielbieniem, oczarowany jej wdziękami. Gdyby coś podobnego zrobiła u nas śmiała kobieta? Nie znamy tych granic, do jakich wtedy sięgnęłaby zgroza. Więc czemuż bez wstrętu i zakłopotania, przeciwnie, z zachwytem przypatrujemy się tej ladacznicy i jej zuchwalstwu? Co to znaczy?

Według legendy, kiedy stróże moralności publicznej oskarżyli Frynę o urąganie obyczajom i rozbestwienie młodzieży, za co jej groziła kara śmierci, adwokat zdarł z niej odzież przed trybunałem i zawołał: „Czy odważycie się zabić to piękne ciało, które sami bogowie stworzyć musieli?“ Olśnieni sędziowie wydali wyrok uniewinniający. Przez dwadzieścia kilka wieków aż po dzień dzisiejszy powtarza się ten proces, ta obrona i ten wyrok. Fryne, służebnica sprosnych namiętności, kwiat trujący, najmitka rozpusty, wyuzdana hetera, pozostaje ciągle bohaterką sztuki, bo jest—piękną. Przeciw potędze, zawartej w tym jednym wyrazie, sprzysięgały się najrozmaitsze siły ziemskie i nadziemskie a pokonać jej dotąd nie zdołały. W urokach piękna roztapiają się najcięższe grzechy i zmywają się najjadowitsze plamy. Zdaje się, że jest ono tym szlachetnym kruszcem, którego nie przegryzie żadna rdza moralna. Natura objawia w niem swój geniusz, a czy on występuje w postaci anioła, czy szatana, rzuca ludzi przed swym majestatem na kolana. Niema chyba bożyszcza, któreby tak powszechnie, tak ciągle i tak wszechwładnie nad nimi panowało. Jest to najstarszy bóg ich Olimpu, którego kult nie miał nigdy odszczepieńców i bluźnierców, którego świątynia nigdy zburzoną nie była. Człowiek przestawał być mądrym, uczciwym, mężnym, ale nawet w ostatecznem upodleniu nie przestawał być czcicielem piękna, a czuł się najnieszczęśliwszym wtedy, gdy je tracił. Co zrobił w dziejach rozum, praca, milosierdzie, obliczyć w przybliżeniu można; ale jaki wpływ wywołało i jakie skutki zrodziło piękno — nikt nie oznaczy, bo przeniknęło ono we wszystkie komórki życia ludzkości, we wszystkie jej uczucia, myśli i czyny. Wyprujmy z wątku historyi nici estetycznych wrażeń i zachwytów a pozostanie parciana, zgrzebna tkanina, która nas przerazi swą grubością. Gdyby słońce wschodziło i zachodziło z jednostajnością zapalanej i gaszonej latarni, gdyby natura przesuwała swe obrazy ogołocone z rozmaitości uroków, gdyby kobiety nie przynosiły na świat szczególnych czarów, skarbnica bogactw ducha ludzkiego byłaby co najmniej o połowę uboższą.

Oto dlaczego przyzwoity artysta wymalował Frynę, a przyzwoite tłumy ją oglądają z taką czcią, jak gdyby stały przed cudownym obrazem w ołtarzu.

Jakże wypadł artystycznie ten obraz pod pędzlem Siemiradzkiego? Gdyby legenda opowiadała, że grecy, dla przedstawienia bogini wychodzącej z morza, wybierali najpiękniejszą i najcnotliwszą dziewicę, która miała wystąpić nago wobec pobożnej rzeszy i że ten zaszczyt przypadł skromnej, niepokalanej Frynie, którą służebnice rozbierają do świętego obrzędu nad brzegiem morza, a ona zawstydzona swą nagością, budzącą w widzach podziw, odwraca oczy i poddaje się wdzięcznie obowiązkowi — gdyby legenda tak brzmiała, mielibyśmy na płótnie Siemiradzkiego doskonałe jej odtworzenie. Byłoby ono zaś tem wierniejsze, że bohaterka, której twarz przyćmiona do połowy cieniem parasola, sprawia na pierwszy rzut oka wrażenie zasłoniętej woalką. Ale osnowa podania przedstawia się inaczej i — według nas — lepiej. Śmiały pomysł hetery, targającej pasmo obrządku religijnego siłą swej piękności i narzucającej się bogobojnemu tłumowi w postaci bogini, jest daleko oryginalniejszym, a dla malarza byłby wdzięczniejszym, niż akademickie ugrupowanie figur w spokojnem uwielbieniu dla obłuskiwanego z powłok pięknego niewiniątka, które zawiesiło sobie na sznurku jedwabną podobiznę liścia figowego. Fryne Siemiradzkiego nie jest zuchwałą heterą, a jego obraz nie posiada nagłego, żywego ruchu, któryby uzmysłowił tę jedyną scenę. Ale — pomijając szczegóły — przyznać trzeba, że jest to utwór wspaniały, bogaty w barwach, rozległy w przestrzeni, rojny i rozmaity w składzie, pełen upojeń, blasków i wdzięku. Życie ma w nim tętna łagodne, sielankowe, nie kipi tym warem, jakiegoby oczekiwać należało, ale przejawia się w formach, przypominających Grecyę klasyczną.

Robioru drobiazgowego zrzekamy się; taka szarpina, gdyby nawet była na coś przydatną, nie zmieściłaby się w łamach *Prawdy*. Więc tylko zapisujemy ogólne wrażenie: Fryne jest ładną aktorką komedyi religijnej jako — naiwna.

*O.*

---

# FEJLETON.

## LIBERUM VETO.

Skargi na słońce. — Wynagrodzenie za przeszłe lato. — Bezskuteczność duplikacyi. — Plotki o szachu. — Reporterskie 30 milionów — Wianki akcyonaryuszów 15 czerwca. — Dodatni owoc. — Niepotrzebne strapienie i zaraza strachu. — Być może. — Dziwny rozkład naszej uwagi. — *Wisła*. — Zmarły Piotr Jaksa-Bykowski jako pisarz. — Prawdziwy obywatel.

Cała historya od najdawniejszych czasów brzmi skargami na słońce, które jednych zbyt ogrzewa, drugich zbyt promieniami swymi razi, innym błoto wysusza. Większość rodu ludzkiego lubi je za kloszem z obłoków i chmur, przesłonięte, umiarkowane w swem cieple i świetle. Kiedy niebo odzieje się na długo płaszczem czystego błękitu i zapnie go swoim wspaniałym, gorącym opalem, ludzie mrużą oczy jak krety, zieją jak ryby wyrzucone z wody i wołają: o słońce, przestań lać swe blaski i żary, niech natura ochłodnie i ściemnieje, bo z nas wyparuje życie!

Tak było — mówię — zawsze w historyi, ile razy w niej zajaśniało jakiekolwiek słońce, tak jest i obecnie. Tylko że teraz dokucza nam to zwykłe, życiorodne, które, jak gdyby wysłuchawszy kilkoletnich modłów o pogodę, postanowiło nam wynagrodzić przeszłe swoje skąpstwo. A wynagradza hojnie. Po całym kraju rozlega się jedno wielkie: uf! Ponieważ śród moich ziomków wszelki indywidualizm, wszelka odrębność jest właściwością tak zdrożną, że potrzeba odwagi, ażeby przyznać się publicznie do nielubienia szparagów, przeto łączę się z ogółem i wraz z nim jak Hagar narzekam na upały. „Jehowa, Jehowa! och wody, och rosy, kropelki, kropelki choć dżdżu.“ Niestety, ludzie odśpiewują jeszcze gruntowniejsze i skuteczniejsze suplikacye, a nic to im nie pomaga. Jak skwar palił, tak pali.

Mamy wiele powodów do żałowania, że język polski nie jest rozumianym po za granicami naszej siedziby, bo — nie licząc powyższej straty — dzięki temu musimy się uczyć wielu obcych, hodujemy całe stada małp we francuskiem przebraniu, przepisujemy w *Kuryerach* Olendorfa, a kolumny prasy zalewamy warszawskim, gallogermańskim volapükiem, wynalezionym dla okpienia dyabła w cyrografach. Bywają wszakże chwile, w których ów żal zamienia się na pociechę. Bo chyba każdy rozsądny człowiek uzna to za wypadek szczęśliwy, że ani bawiący w Warszawie szach perski, ani jego dworzanie nie czytają po polsku. Gdyby ci ludzie wiedzieli, co o nich dzienniki piszą! Pomyślelibyśmy, że albo to miasto jest kolonią perską, albo stolicą plotkarską. Reporterzy śledzą szacha we wszystkich, nawet najskrytszych czynnościach, podpatrują go w kąpieli, na spacerze, przy jedzeniu, obliczają jego wydatki, rewidują sprawunki i francuszczyznę drażnią ciekawość tłumów, które gromadzą się natychmiast, gdzie tylko ujrzą twarz ciemną. A ile to pszczółki reporterskie znoszą do swych ulów przesady i kłamstwa, orzec trudno. Dla charakterystyki zaś tego materyału wystarczy jedna próbka. Chciwość i łakomstwo gawiedzi, pragnącej wyzyskać pobyt szacha wszelkimi sposobami, połechtano wiadomością, że wiezie on z sobą skarb *30 milionów* franków, przeznaczony na koszta podróży, a strzeżony przez wartę dniem i nocą. Pomijając to, że najbogatszy władca europejski nie mógłby sobie pozwolić tak olbrzymiego wydatku na jedną przejażdżkę, wiedzieć należy, że cały roczny dochód *państwa* perskiego wynosi 40,000,000 fr., z tej zaś sumy dwór otrzymuje 9,000,000. Ponieważ zaś Persya nie zna wcale długów, skądże więc jej monarcha wziąłby na kilkomiesięczną wycieczkę aż 30,000,000 fr., zwłaszcza że Europę odwiedza dość często i — jak przekonywa rezultat finansowy jego rządów — jest bardzo dobrym gospodarzem swego kraju? Reporterom naszym, którzy Persyę znają z *Tysiąca i jednej nocy*, zdaje się, że tam konie kują złotem, do krzesiw używają dyamentów, a wydawcy pism płacą od wiersza plotki po funcie turkusów lub rubinów.

„Letni karnawał“ — karnawał trwa u nas przez rok cały — zapowiada się tego roku bardzo dobrze. Szach wyjedzie akurat wtedy, kiedy zacznie się nowa uciecha z akcyonaryuszami kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Drugie i decydujące ich zebranie zwołano na 15 czerwca. Ponieważ „najezdnicy“ pod dowództwem Lysena, chociaż ku wielkiemu zdziwieniu naszych... zapewne dorożkarzy?.. na obrady przybywają pieszo i chociaż przeważnie stanowią „słomę przedpokojową“ — stawią się niezawodnie w pełnym hufcu (ta słoma zawsze tak robi), przeto możemy być pewni ciekawego widowiska. Znowu nasi kapitaliści tłomaczyć będą holendrom, belgom i niemcom, że powinni być dobrymi obywatelami... kraju, znowu ci nagle nobilitowani wytrzeszczą zdumione oczy, znowu ten i ów nasz chłop będzie przemawiał do cudzoziemskiego obrazu, a obraz do niego ani razu, znowu...

A może nie? Może „wynajmą“ sobie potrzebną ilość akcyj (w języku warszawskiej ekonomiki będzie to świadczyć, że kolej jest *naszą*) i przegłosują belgów — w czem? W oznaczeniu wysokości dywidendy i konwersyi Listów. Przypuściwszy wszakże nawet ten wypadek, trudno nim rozgrzać ziębnięte w niepowodzeniach serce. Konwersyi nie dotykam, bo jej z interesami naszego społeczeństwa zmierzyć nie umiem, ale co nas tak dalece obchodzić może owa dywidenda? Czy ona będzie wynosiła 13, czy 10 rs. za akcyę — to mniejsza; „wzięli dyabli krowę, niech wezmą i cielę“ — powiada przysłowie. W każdym razie kolej Warszawsko-Wiedeńska pozostanie własnością kapitalistów obcych. Natomiast cieszmy się tem, co stanowi dodatni rezultat pierwszego zebrania i na co nasi akcyonaryusze zdobyli się dopiero pod strachem „najazdu“ — mianowicie zapewnioną emeryturę pracowników, którzy wysłużyli już lat dziesięć. To już nie zależy od „dobrej woli,“ „ojcowskich starań,“ grupowania się stronnictw, handlu akcyami i przeróżnych szacherek, lecz stało się faktem, za który należy podziękować wszystkim, nawet mimowolnym sprawcom. Mając taki owoc w ręku, obrywanie innych z drzewa kolejowego możemy pozostawić walce i grze tych, którym one jedynie się dostaną. Czy zaś jakiś znajdzie się w jednej lub drugiej kieszeni — o to głowy nie rozbijajmy. Publiczność powinna w tej sprawie więcej myśleć i ściślej odróżniać dobro kraju od korzyści jednostek. Często strach zagrożonego dygnitarza kolejowego lub jego faworytów rozszerza się popłochem, okrzykującym niebezpieczeństwo całej instytucyi lub całego gospodarstwa społecznego, a poczciwi ludziska drżą własną skórą za skórę jednostki, której wyjęto z ust obfite wymię dojnej krowy. Ani ustawa kolei, ani wogóle stosunek jej do ustroju państwa nie pozwoli nigdy na trwałą i nieograniczoną przewagę cudzoziemców, gdyby nawet żywioły miejscowe nie broniły energicznie swych wpływów; droga przeto Warszawsko-Wiedeńska belgijską lub niemiecką nie będzie. Jeżeli tedy taryfy na niej zostaną z[illegible]one, jeżeli jej urzędnicy otrzymali rękojmię co do emerytury, to mamy czem obetrzeć łzy po zmartwieniu. Zresztą przyznać trzeba, że i ta burza nieco oczyściła powietrze, zatęchłe w gospodarce, w której zbyt często ręka rękę myła, a noga nogę wspierała. Być może, iż członkowie zagraniczni zechcą do nas wprowadzić udogodnienia, z których cały świat ucywilizowany już korzysta, a my o nich ciągle „myślimy.“ Warszawa niema kolei urządzonej według wzorów zagranicznych, a ma takie, które już należą do kopalnych.

Jednem z najciekawszych i najsmutniejszych znamion naszego życia jest dziwny rozkład uwagi publicznej. Najkapryśniejsza wyobraźnia, najprzebieglejsza domyślność nie odgadłaby nigdy, co nas zajmuje, a co jest zupełnie obojętnem dla prasy i jej czytelników. Tak np. dopóki cudzoziemcy nie wtargnęli do zarządu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, zebrania jej akcyonaryuszów nie obchodziły nikogo. Wiedziano, że co pewien czas odbywa się tam „rada familijna“ — i dosyć. Nagle przez kilka tygodni kilkaset tysięcy ludzi w samej Warszawie rozpaliło się do spraw tej drogi, o której za pół roku myśleć będą ci tylko, co z niej żyją lub żyć chcą. Inny dowód. Jeżeli pp. Ćwiczek i Gziczek pojadą do Jabłonny koleją lub końmi — nikt o tem nie mówi i nie pisze; ale jeżeli pp. Ćwiczek i Gziczek pojadą do Jabłonny na bicyklach, nazajutrz naród otrzymuje buletin o ich podróży. Inny przykład. Tego samego dnia, w którym p. Przybylski uczuje się zapłodniony nowym pomysłem do komedyi, otrzymujemy radosną nowinę; natomiast wychodzą dzieła naukowe i artystyczne niepospolitej wartości, o których wiele pism nie robi nawet wzmianki. W każdem innem społeczeństwie, dbałem szczerze o swoją literaturę i naukę, wydawnictwo takie, jak *Wisła*, cieszyłoby się wielkiem poparciem i uznaniem. Jest to bowiem wydawnictwo nadzwyczaj pożyteczne, prowadzone z wyjątkową u nas umiejętnością i wiedzą, a przytem mające wielki urok jako poświęcone etnologii naszego narodu. Śmiało rzec można, że kwartalnik ten wyrównywa swą wartością najznakomitszym tego rodzaju wydawnictwom zagranicznym! I cóż z tego, kiedy mniej zwraca na siebie uwagi, niż cykliści, jeżdżący do Jabłonny. Nie przeszkadza to wprawdzie, ażeby pewnego dnia gazety nie wpadły nagle w paroksyzm mówienia ni stąd ni zowąd o *Wiśle*, ale po takim napadzie znowu o niej zapomną na całe lata. Bo wiecież poczciwi ludzie, od czego u nas zależy wynurzenie się na wierzch jakiegoś pierwszorzędnego faktu? Od przypadkowej rozmowy ze współpracownikami tego lub owego pisma, od znajomości z reporterem, słowem, od przygody.

Tylko klapsydry pogrzebowe otwierają naszej prasie usta. Całe życie czyjeś może być przemilczanem, ale śmierć nigdy. Dzięki jej ukazał się wszędzie Piotr Jaksa-Bykowski, który zmarł przed paru dniami. W ostatnich latach nie wspominano o nim prawie wcale, chociaż — pomimo swych przebierań się za liberała — był to pisarz nawskróś konserwatywny i szlachecki. Młodość spędził jako bliski uczestnik tego bezładu życia szlachty podolskiej, którą potem odmalował z humorem, ale i sympatyą. Zanim ujął pióro, przesnuł naprzód wątki anegdot i jowialnych zdarzeń w opowiadaniach ustnych. Spisywać je zaczął późno i wówczas nieraz dziwił swoich słuchaczów, że ich nudził w książce tem, czem zabawiał w żywem słowie. Bykowski bowiem nie miał talentu artystycznego; chcąc tworzyć obrazy, bajał rozwlekle, stylem mdłym i zaniedbanym. Co w kwadransewej gawędce wychodziło barwnie, to rozmazane na kilkuset stronicach bladło. Ponieważ zaś nie miał on nic nowego do powiedzenia społeczeństwu swemu, a jako malarz przeszłości nie posiadał siły, więc też powieści jego nie budziły szerszego zajęcia. „Przy dłuższej i usilniejszej pracy — według *Gazety warszawskiej* — byłby może w swych opowiadaniach dorównał najświetniejszym ustępom *Pamiątek Soplicy*, ale czasu już nie miał na to.“ Wątpimy, czy tylko czasu. W utworach jego trudno doszukać śladu wielkiego talentu autora *Pamiątek*. Co najwyżej, łączyła go z nim wspólność materyału. Stopnie uzdolnień były bardzo odległe.

Pisma, które nieraz hebesom odśpiewują nad grobem pochwalne egzekwie, płatnem tylko ogłoszeniem załatwiły się ze śmiercią człowieka wielkiej wartości, choć nawet ani jednej nowelki nie napisał. W Pieściedlach pod Zakroczymiem zmarł prawdziwy obywatel — Dębski, który nie widział dla ziemian niebezpiecznego przesilenia przed 25 laty w uwłaszczeniu włościan, a obecnie w „braku taniego kredytu,“ który ciężką i umiejętną pracą osiągał rezultaty równające się szczęśliwym wygranym na loteryi, który doprowadził ziemię do wyjątkowej rodności, który prowadził u siebie rzeczywistą szkołę praktyki gospodarczej, wykształcił liczny zastęp rolników i podał im rękę pomocną na stanowiskach samodzielnych, który ludem nie poniewierał, lecz go szczerze kochał i cenił. Jak grudka ałunu czyści wodę z mętów, tak on wpływał na swą okolicę. Gdyby w Poznańskiem znalazło się dziesięciu Dębskich, komisya kolonizacyjna nie nabylaby ani jednego od polaków folwarku, a gdyby on jeden żył długo, wykupiłby wszystkich zbankrutowanych szlachciców w Królestwie. W umyśle jego złączyły się talent i wiedza gospodarcza rolnika ukształconego z pracą, wytrwaniem i miłością dla ziemi chłopa. A w tym mozolnym i długim dorobku na charakter jego nie padła najmniejsza plama. Umarł spracowany i czysty.

*Posel Prawdy.*

---

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Zapis.** Podobno legat pozostawiony dla gminy izraelskiej przez zmarłego niedawno w Warszawie Lessera Levyego w sumie 30.000 rs., ma być obrócony na urządzenie oddziału dla obłąkanych przy projektowanym szpitalu starozakonnych. Do pozostawionej będzie dołączona suma 18,000 rs., którą zmarły ofiarował był na budowę szpitala. Nadto sukcesorowie obiecali dodać do powyższego znaczną jeszcze kwotę.

**Rektor** uniwersytetu w Dorpacie — jak donosi *Rižsk. Wiest.* — ma być na przyszłość mianowany przez rząd.

**Regulacya rzeki.** Komitet giełdy w Rydze pracuje nad projektem uregulowania Dźwiny zachodniej w ten sposób, ażeby można było zaprowadzić stałą komunikacyę wodną od Rygi do Witebska.

**Jubileusz Kosaka** (czterdziestą rocznicę pracy artystycznej) obchodził Kraków d. 3 b. m.

**Wyścigi** konne zwyczajem dorocznym rozpoczęły się w Warszawie w ubiegłą niedzielę. Wielkopańskie wierzchowce ściągnęły tysiące tłumów dla łykania kurzu i prażenia się na słońcu.

**Trzy mosty** wielkie pozyskać ma Europa. Dzienniki angielskie donoszą, że plany mostu ponad kanałem między Calais i Dover już są gotowe i zatwierdzone przez komisyę międzynarodową francuską i angielską. Nadto inżenier szwedzki, Rudolf Liljequist, naszkicował plany dwóch innych mostów morskich, z których jeden ma połączyć Helsingör (Dania) z Helsingborg (Szwecya), a drugi Laaland z Femarn. Za pomocą tych dwóch mostów mogą być połączone w najprostszy sposób Niemcy z Danią i Szwecyą.

**Straszne burze** poczyniły wielkie spustoszenia w Marchii. W okolicach Tegel i Heilingensee spadł grad wielkości orzecha laskowego. W innych miejscach ogromne obszary pokryte były lodem. Szkody w lasach i polach olbrzymie.

**Obserwotoryum** astronomiczne ma być wzniesione w Watykanie. Papież przeznacza na ten cel milion lirów.

**Nowa kopalnia.** P. Stanisław Kontkiewicz, inżenier górniczy, wystąpił w charakterze pełnomocnika p. Wasala, z zamiarem eksploatowania węgla kamiennego, znalezionego w lasach rządowych w okręgu olkuskim. Pokład gruby na 2 stopy i 6 cali znajduje się w głębokości 13 stóp.

**W Łęczycy** panuje ogromne oburzenie na rzeźników, którzy wbrew przepisom policyjno-lekarskim nakazującym poddawać rewizyi sztuki bydła, przeznaczone na rzeź, potajemnie dobijali krowy chore na gruźlice, motylicę itp. i mięso ich rozprzedawali.

**Nowosti** donoszą, iż potwierdza się dziennikarska pogłoska o mającem nastąpić zwinięciu dorpackiego sądu wszechniczego i że przedsięwzięto energiczne środki ku zaprowadzeniu języka państwowego w sprawach kolejowych na wszystkich liniach kraju nadbaltyckiego.

**Dla budowy** kolei Dolińsko-Odeskiej pozwolono dokonywać studya. Linia ta skróci przestrzeń komunikacyjną między Odesą a Moskwą o 160 wiorst.

**Katastrofy.** Pod St. Luis w Ameryce północnej wykoleił się pociąg z taką gwałtownością, że wszystkie wagony uległy zdruzgotaniu. Czterdzieści kilka osób poniosło śmiertelne obrażenia. Wykolejenie spowodowała banda rozbójników, która w celu rabunku obluźniła szyny.

— Dwa francuskie statki rybackie zatonęły na wybrzeżu Newfoundland; 175 osób zginęło.

**Dostawy rządowe.** Dokonane w Cesarstwie próby powierzania dostaw rządowych przemysłowcom włościanom, przyniosły świetne rezultaty. Drobni ci przemysłowcy dostarczyli już kilkadziesiąt tysięcy obuwia i uprzęży. W zeszłym zaś roku ministeryum marynarki zamówiło w gub. wiackiej rozmaitych potrzeb dla floty za 30,000 rs. Wykonanie obstalunku — jak donoszą *Nowosti* — tak dalece okazało się zado-

walającem, że ministeryum uczyniło u tychże przemysłowców nowe zamówienia na 40,000 rs., a nadto udziela im zaliczeń.

**Szkoły.** Rada miejska w Mikołajewie wystąpiła do ministra oświaty z prośbą, ażeby egzaminy w szkołach odbywały się wcześniej niż teraz i odpowiednio do klimatu danej miejscowości, oraz aby wakacye letnie trwały nie 8, lecz 10 tygodni. Taką samą prośbę złożyło ziemstwo pow. chersońskiego, żądając nadto zmniejszenia liczby godzin pracy w szkołach.

**Wystawa.** W m. Kalwaryi, gub. suwalskiej, staraniem zarządu stadniny janowskiej, odbędzie się 23 b. m. wystawa koni roboczych włościańskich. Przyjmowane będą konie 4—6 letnie, oraz źrebięta, należące do włościan kolonistów, mieszczan-rolników, oraz duchowieństwa wiejskiego.

**Zwinięcie kas.** Izba skarbowa w Radomiu zawiadamia, że z d. 1 listopada r. b. nastąpi zwinięcie kas oszczędności przy magistratach w Radomiu i Sandomierzu.

**Głośna sprawa** nadużyć w filii b. Banku polskiego w Włocławku, z powodu których zawiadujący filią Banku, Edmund Krzeczkowski, uciekł przed samą rewizyą kasy z 80,000 rs., sądzona jest obecnie w II departamencie kryminalnym Izby sądowej. Z powodu nieodszukania Krzeczkowskiego i kupca Grąbczewskiego, sądzeni są: Jan Smochowski, b. kontroler filii włocławskiej w zarzucie, iż ze świadomością nie spełniał przepisów, odnoszących się do jego służby, Jan Wilkęski, b. kasyer filii Banku w zarzucie, iż nie przestrzegał pilnie przepisów instrukcyi, Jan Orłowski w zarzucie, iż dopomógł Krzeczkowskiemu ukryć się przed sądem i Samuel Radziejewski w zarzucie, iż w zmowie z Krzeczkowskim brał udział w przywłaszczeniu pieniędzy przez zdyskontowanie fałszywych weksli, na których nawet fałszował cesye i podpisy. Świadków wezwano około 100. Radziejewski odpowiada z więzienia, wszyscy inni z wolności.

**Wybuch.** W fortecy Königstein w Saksonii pod Droznem od uderzenia piorunu nastąpił gwałtowny wybuch w składzie prochu, w którym znajdowało się 13,000 bomb i granatów, 200,000 ładunków dla piechoty i 10,000 kilogramów prochu. W Königsteinie, Hütenie i Thürnsdorfie szyby w oknach popękały, szyldwacha odrzuciło daleko razem z budką i pokaleczyło go. Wszystkie poblizkie budynki ogromnie uszkodzone. Jednocześnie uderzyły w fortecę trzy pioruny: w wieżę, kasyno i magazyn prochu.

**Wielki pożar** nawiedził Wilno z d. 2 na 3 b. m. Około 30 domów i kilka znacznych fabryk spłonęło zupełnie.

**Sezon** teatrzyków ogródkowych rozpoczął się w Warszawie z d. 1 b. m. „Wodewil" zajęło towarzystwo poznańskie, Belle-vue towarzystwo łódzkie, Alhambrę trupa Puchniewskiego, Eldorado — Sarnowskiego.

**Zjazd.** Kijowskie Tow. rolnicze zwołuje w lutym r. p. zjazd obywateli z gubernij: kijowskiej, podolskiej, wołyńskiej, czernihowskiej, połtawskiej i charkowskiej. Na zjeździe tym ma być podniesiona sprawa kosztów produkcyi zbożowej.

**Ministeryum** wydało rozporządzenie, mocą którego personel służby dróg żelaznych obowiązany jest dobrze władać językiem ruskim. Osoby niewładające tym językiem, będą ze służby uwolnione: na kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej w ciągu sześciu miesięcy, na Terespolskiej — dwóch, na innych — natychmiastowo.

### ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*S. S. S.* Bez wartości.

*H. K. i Ktoś.* Ponieważ przepisy i warunki kształcenia się w rozmaitych zakładach naukowych ulegają częstej zmianie, więc nie udzielamy o nich objaśnienia, tem bardziej, że często musielibyśmy ich zasięgać tą samą drogą, na którą powinien się zwrócić każdy z interesowanych — zapytaniem u źródła.

*Emzelowi w Odesie.* Tylko tak: *mrozy trzaskające*, *ugaszać* lub *ugasić*, *bred* (jako pierwiastek); *ztamtąd*—dobrze.

*Annie D.* Nie wychodzi.



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Мая 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.